

rozmowy
codzienne



alltägliche
gespräche

michael fleischer

rozmowy  alltägliche
codzienne  Gespräche

spis treści¹

rozmowy codzienne z moją żoną teźże dedykowane		7
rozmowy codzienne z moim mężem temuż dedykowane		49

alltägliche gespräche mit meiner frau derselbst gewidmet		91
alltägliche gespräche mit meinem mann demselbst gewidmet		133

1 tytułem wstępu: książka zawiera polską i niemiecką wersję „rozmów codziennych...”. wersja niemiecka to oryginał, zaś polska – jego przekład (dokonany przez autora). zaś generalnie chodzi o to, czy język jest w stanie wytrzymać to, co opisuje. lub odwrotnie.
za korektę językową autor dziękuje panu igorowi borkowskiemu i pani annette siemes.

rozmowy ☐ z moją żoną
codzienne też dedykowane

byłaby to w sumie, miałbym kiedykolwiek zamiar tę historię opowiedzieć, w pewnym sensie historia troski, dla której, aby ją komuś opowiedzieć lub uzmysłwić, w ogóle nie byłbym pewnie w stanie znaleźć tej ilości czasu, jaka dla opowiedzenia owej historii byłaby stosowna. historia, w której, aby, też kiedy teraz nie jest tu obecna, ją uspokoić, nie, jak się częstokroć oraz, tego zdania również jestem, nie bez powodu obawiała, ja, lecz choć raz właśnie moja żona stoi na pierwszym planie. byłaby to, gdyby tę historię można było opowiedzieć, swego rodzaju historia o niedociągnięciach tej mojej żony w kwestii bycia w zgodzie, nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu i jak dotąd próbnie, z czasem. o ile z wyjątkiem tejże żony cała ludzkość, a przynajmniej ta jej część, dla której czas jest czymś, co bierze się poważnie, wie, ile czasu dla przeprowadzenia jakiejś czynności, a mianowicie takiej, z którą w przeciągu lat do woli można się było zaznajomić, jest wymagane, aby tę czynność zakończyć w chwili, w której inna czynność, a dokładniej, tej innej czynności początek, a to, chcąc rozwiązać ewentualne wątpliwości, powiem, w porozumieniu z tą żoną, a nierzadko na jej stanowcze życzenie, został ustalony, o tyle moja żona tego nie wie. tej żonie jeszcze nigdy nie udało się, czyli, jak mogę założyć, niemożliwym jest, skorelować zakończenia jakiejś czynności z rozpoczęciem jakiejś innej, również zaplanowanej. stale jakaś czynność, jakakolwiek czynność by to była, się co prawda z początkiem innej, przez moją żonę wtedy uznaną za konsekwentną, nigdy jednak z również przeze mnie jako taką właśnie widzianą lub zgola przez nas oboje ustaloną czynnością, nie kończy. często wtedy moja żona pyta, nierzadko z prawie już nieukrywanym gniewem, cóżże chcę, wszystko przecież bez wątpienia płynnie przechodzi jedno w drugie. kiedy zaś odpo-

wiadam, że w rzeczy samej to tylko do jej, jednakowoż nie do moich lub zgoła do naszych czynności przystaje i w takiej sytuacji to właśnie ja zmuszony jestem brać wzgląd, wtedy moja żona mnie nie rozumie.

też zdarza się często, że pewnemu zdenerwowaniu wobec zachowania mojej żony nie mogę w jej obecności, a zatem wobec niej, dać wyraz, ponieważ w takich wypadkach skłania się ona ku temu, by zarzucać mi, iż to przecież ja sam jestem tym, który powoduje powstawanie stresu, nie ona. często natomiast daję się wtedy nakłonić do repliki.

koncepcja czasu mojej żony była dla mnie zawsze zagadką oraz, a proszę zważyć, moja żona dzisiaj, tak samo jak ja, jest w wieku pięćdziesięciu lat, na zawsze zagadką pozostanie. temu jednak, twierdzi moja żona, jestem tylko i wyłącznie ja winny, gdyby nie było moich ciągle powtarzanych uwag, świat byłby w najlepszym porządku. kiedy pytam moją żonę, czyżże świat, żałuję w tym samym momencie faktu postawienia tego pytania i postanawiam na przyszłość w takich i podobnych wypadkach milczeć.

też zdarza się często, że jakaś uwaga z mojej strony prowadzi do innej, takiej mojej żony jednakże, która tę moją, w gruncie rzeczy niepotrzebną, uwagę traktuje jako asumpt do przedstawienia mi pewnego zdarzenia, na temat którego, w rzeczy samej, nic nie chcę wiedzieć. przez to jednak wprowadzam się w sytuację konieczności przyznania, że to, co się teraz dzieje, przypisać muszę sobie samemu. w niczym nie poprawia sytuacji chęć przekonania mnie, iż poczynioną uwagę poczyniłem jedynie z uprzejmości, z czystej sympatii i właściwego mi zrozumienia dla sytuacji mojej żony.

rzadko tylko da się jakiś rozpoznawalny związek między właśnie przeze mnie oraz, na tę okoliczność, przez moją żonę powiedzianym stwierdzić, przynajmniej w ostatnich latach prawie wcale. powiem bowiem na przykład, »ktoś jednakowoż umieścił na sobie dużo perfum«, moja żona odpowiada, iż poci się w ostatnim czasie sporo.

na moją poczynioną przeze mnie wobec mojej żony uwagę, niechże ona proszę nie robi znowu stresu, nie otrzymałem odpowiedzi. po raz kolejny, jak zmuszony jestem przyznać.

także technicznych kwestii moja żona nie przeżyła nigdy. takich na przykład, które tworzą relacje z kablem od odkurzacza. odległość między określonym, poddanym czyszczeniu, miejscem a służącym do tego celu odkurzaczem jest w danym wypadku, w zależności od lokalizacji i zmiany lokalizacji owego odkurzacza, zawsze stałą wielkością, którą, co prawda nie wyłącznie, niemniej najłatwiej, poprzez stosowne wyciągnięcie kabla od odkurzacza można zniwelować, a tym samym dopasować do aktualnej sytuacji. moje, pomyślane jako wskazówka i przeprowadzane w milczeniu, działania, jak na przykład odpowiadające zastanym okolicznościom wyciągnięcie zwiniętego kabla z obudowy odkurzacza, a mianowicie w sposób, który nie może przez moją żonę pozostać niezauważonym, nie przynoszą żadnych skutków. rozmowy na ten temat należą między nami do przeszłości.

innymi słowy, kiedy moja żona używa odkurzacza, co na szczęście rzadko ma miejsce, jako że ja, jak zakładam za jej zgodą, uprzedzam ją najczęściej w użytkowaniu odkurzacza, z powodu, co chciałbym podkreślić, mojego umiłowania dla porządku i czystości, a nie z jakkolwiek rozumianej miłości czy sympatii do mojej żony, wtedy nie wyciąga ona kabla z odkurzacza nigdy tak dalece, jak byłoby to koniecznym, kiedy chciałoby się odkurzyć to, co przedsięwzięto się odkurzyć, lecz zawsze za mało, co mnie wtedy skłania, bez słowa, do tego, by ów za mało z odkurzacza wyciągnięty kabel, w sposób w najwyższym stopniu oczywisty i naturalny, wyciągnąć teraz na tyle, by bardziej odpowiadało to okolicznościom. całe to zdarzenie jest przez moją żonę bez słowa znoszone, a przeze mnie także wykonywane.

ostatnio zapytałem moją żonę, nie mając na myśli niczego szczególnego, a właściwie jedynie po to, aby moją uprzejmość, która w ostatnim czasie co nieco rzadko dochodziła do głosu, wydobyć znowu na światło dzienne, »czy mogę ci może pomóc«, na co moja żona, przygotowująca właśnie kolację, odpowiedziała, »cóż, robię po prostu grzyby z małą ilością kuskus«. kontynuacja rozmowy jawiła mi się od tej chwili niemożliwą.

również guzików na urządzeniach technicznych moja żona nie potrafi w sposób tym guzikom odpowiadający naciskać. wie ona, co prawda, do czego owe guziki służą, i co, kiedy się je już nacisnęło, można tym osiągnąć, ale to właśnie jest tym, co mojej żonie za nic w świecie nie chce się udać. kiedy należy, jak często ma to miejsce, gdy chce się coś przy pomocy takiego urządzenia spowodować, nacisnąć jakiś guzik dwa razy, dwa razy pod rząd, co chcę podkreślić, wtedy nie udaje się mojej żonie znaleźć koniecznego w tym celu rytmu. naciska go ona, jakkolwiek guzik by nacisnęła, po prostu zbyt wolno pod rząd i tym samym nie dochodzi do rezultatu przez nią najwyraźniej oczekiwanej akcji. świat, w którym guziki, a mianowicie wszystkie i zawsze, należałoby naciskać tylko raz, byłby jej miłym, powiedziała ostatnio moja żona. zdarza się jednakowoż nierzadko, że właśnie te guziki, które należy nacisnąć tylko raz, przez moją żonę w tej mierze długo są naciskane, iż traktowane przez nią w ten sposób urządzenie interpretuje to jako dwukrotne naciśnięcie i co prawda wykonuje akcję, jednakże nie tę, którą moja żona miała nadzieję wywołać, czyli taką, która wymagała jednokrotnego naciśnięcia guzika. w takich wypadkach ograniczam się, jak mam to w zwyczaju, do zdań typu »raz nacisnąć« lub »dwukrotnie nacisnąć«. co moją żonę, jak natychmiast mi mówi, czyni nerwową.

»to co«, zapytałem ostatnio, »zrobimy coś do jedzenia?«. na to moja żona odpowiedziała, »tak, zjadłam bułkę«. co mnie, kiedy się wie, że posiłek mojej żony częstokroć składa się z jednej właśnie bułki, nie tylko nie prowadzi ani o krok do przodu, a i również nie z powodu bułki zadziwia, lecz zawsze tylko skłania do namysłu, a mianowicie o tym, cóżże moja żona swą uwagą mogła była mieć na myśli lub chciała osiągnąć. cały następujący po tym czas, w którym zajęty jestem przygotowaniem jedzenia, co nawiasem mówiąc, czynię zawsze i chętnie, myślę o powodzie i celu jej uwagi i nie dochodzę do żadnego przekonującego rezultatu. postawienia stosownego i tym samym wszystko rozwiązującego pytania unikam, ponieważ na okoliczność takich i podobnych sytuacji już przed laty zrezygnowałem choćby z pomyślenia o stawianiu pytania. z obawy w gruncie rzeczy. z obawy przed uzyskaniem tak samo wątpliwego wyjaśnienia stanu rzeczy ze strony mojej żony, jak je również w tym wypadku uzyskałem.

że moja żona spożyła już śniadanie, poznaję do późna w dzień po tym, że na parapecie jej pokoju leży lekko nadgryziona bułka lub także nadgryziona kromka chleba. kiedy kiedyś zagadnąłem moją żonę na tę okoliczność, wyraziła ona pogląd, iż moje obawy są w najwyższym stopniu nieuzasadnione, gdyż ona swą bułkę już zje. gwoli sprawiedliwości należy może dodać, że wspomniana bułka lub też kromka chleba w rzeczy samej po południu znika. nierzadko jednak, i również to jest prawdą, odnajduję później ów nadgryziony kawałek posiłku w innym, często dość osobliwym miejscu. z tego powodu, nie bez zadziwienia, postanowiłem ostatecznie kwestii tej wobec mojej żony już nie poruszać.

amok. jedną spośród najbardziej wzbudzających u mnie obawy właściwości mojej żony nie jest sam amok, lecz raczej rozmowa, czyniąca go dopiero tym, co poprzez tę rozmowę właściwie wierzyłem, iż zmuszony jestem zadać sobie trud zapobiegnięcia mu, a mianowicie owemu amokowi. bez wątplenia powinno być znanym, że moja żona skłania się ku temu, by określonej czynności nie kończyć w tym punkcie, w którym pozostała ludzkość ową czynność kończy, lecz rozpoczętą przez nią czynność rozciągać w taki sposób i w tej mierze, że na końcu, o którym w tym wypadku jednak nie może być mowy, dla przykładu, całe nasze mieszkanie stoi na głowie. coś, co zwykło się powszechnie określać jako koniec, wydaje się mojej żonie być obce. dla niej wszystko łączy się w sposób płynny ze sobą. zjawisko to nie byłoby dalej problematyczne, jak również warte wspominania, gdybym nie skłaniał się, chcąc mojej żonie pomóc, co bezsprzecznie mam w zwyczaju, stale do tego, by musieć chcieć coś powiedzieć, a mianowicie coś, co pomogłoby mojej żonie, z kręgu, w który, moim zdaniem, sama się wmanewrowała, wystąpić, a tym samym sprowadzić ją na powrót w świat, w którym każda czynność posiada koniec. kiedy w takich sytuacjach, wbrew własnemu przeświadczeniu oczywiście, gdyż wiem przecież, dokąd to prowadzi, mówię, »czy nie chcielibyśmy może już teraz skończyć«, konfrontowany jestem z odpowiedzią typu, »nie mogę znieść tego brudu«. »możemy to przecież też później zrobić«, mówię wtedy, najczęściej bardzo niepewnie, zaś w odpowiedzi słyszę, »tobie to wszystko najwyraźniej nie przeszkadza, ty mógłbyś tak żyć«. i jeśli dokładnie w tym momencie natychmiast nie opuszczę pomieszczenia, a tym samym przerwę wymianę zdań, spada na mnie rozmowa oraz następnie, w sposób, w jaki kontynuowała się również rozpoczęta przez

moją żonę, z początku prosta czynność, którą ja moją uwagę chciałem zakończyć, się kontynuuje. kiedy nieostrożnie przegapiam ten moment i nie opuszczam pokoju lub mieszkania, wtedy jestem, a w rezultacie również moja żona, to znaczy jesteśmy oboje, straceni. poczucia zagubienia mojej żony, przynajmniej w tym momencie, nie da się stwierdzić. wyraża ona, co więcej, pogląd, że wszystko, jakoby, jest jak zawsze moją winą, byłbymż jej tylko pozwolił wykonywać jej pracę, wtedy byłaby ją teraz już zakończyła. z doświadczenia, ponieważ już się jej nie sprzeciwiam, wiem, że to nieprawda.

z jednej chwili na drugą moja żona jest niezadowolona, a potem znowu pogodnie usposobiona w następnej chwili. nie byłoby to niczym szczególnym, gdyby owa przemiana nie odbywała się tak raptownie. niepomyślnie w tym jest to, że ja to zawsze już przedtem wiem. kiedy, przez nieostrożność, zagadnę moją żonę na tę okoliczność, zaprzecza ona posiadaniu złego nastroju. kiedy zaś jest w pogodnym nastroju, popada, przeze mnie na tę okoliczność zagadnięta, w niezadowolenie, wyrażające się tym, że przyczynę dla jej nastroju mniema ona odnajdywać we mnie. ma się rozumieć, opinia czysto obronna z jej strony. tylko przed czym ma ona zamiar się bronić, pytam się czasem. bezpośredniej rozmowy o tym jednak moja żona unika. twierdzi jedynie, że chcę ją tylko zniepokoić i jej coś, co się tak wcale nie zgadza, wmówić.

krótkich rozmów z moją żoną praktycznie nie da się opowiedzieć. kiedy mówię, »wróć dzisiaj do domu około trzynastej«, moja żona odpowiada, to nie jest problem, ona nie ma żadnych planów. co mnie wtedy nie tylko przeraża, lecz również zmusza do przemyśleń, jednakowoż nie pozwala dojść do żadnego rozwiązania. już nawet nie zgaduję, co moja żona mogła być mieć na myśli.

przez wiele godzin przygotowuję sobie czasem rozmowę z moją żoną, której to rozmowy później, kiedy wraca ona lub ja wracam do domu, wcale nie prowadzę, ponieważ moja żona mnie, po moim lub jej powrocie, czymś, o czym wcale nie myślałem, o czym zgoła nie mogłem być pomyśleć, kiedy przygotowywałem sobie rozmowę z moją żoną, zaskakuje.

zawsze, kiedy moja żona wraca do domu, obawiam się, a w międzyczasie mam już nawet pewność, że kiedy wejdzie, natychmiast opowie mi podniecającą ją historię, która jej się przydarzyła. rzadko tylko muszę się wyprowadzać z błędu. ludzie, których moja żona, będąc poza domem, napotyka na swej drodze, muszą być potworni. kiedy natomiast ja wychodzę z domu, wtedy wiem, że, powróciwszy, również zostanie mi opowiedziana podniecająca ją historia, mimo iż moja żona nikogo nie spotkała. opowiada ona wtedy po prostu jakieś wcześniejsze wydarzenie, które sobie podczas mojej nieobecności, poprzez tę moją nieobecność, przypomniła. nie chodzi jednak nigdy o ową historię, lecz o to, co w niej potworne, co mogło się było wydarzyć bądź nie.

problem z żaluzją. przy czym to nie sama żaluzja i nie żaluzja jako taka jest problematyczna czy interesująca, lecz sznur, który, jak wszyscy, w tym również moja żona, wiedzą, zawsze jest trochę dłuższy, niż w danym wypadku byłoby to konieczne. za długi jednakowoż tylko wtedy, kiedy, jak czyni to moja żona, nie uwzględnia się technicznych i ekonomicznych wymogów związanych z żaluzjami. ten więc zawsze co nieco za długi sznur moja żona w każdym wypadku i w każdych okolicznościach jest w stanie zasupłać. kiedy ja zwijam żaluzję, wtedy czysto i precyzyjnie zwinięty sznur zawieszam na w tym celu przedtem ustalonym przedmiocie, abym, jak to jest w moim zwyczaju, ów sznur, jeśli będę musiał lub chciał żaluzję znowu opuścić, mógł z tego przedmiotu znowu zdjąć i żaluzję opuścić, bez konieczności zajmowania się przedtem uciążliwym rozsuptywaniem poskręcane go sznura. »dokładnie to samo«, odpowiada zagadnięta na tę okoliczność moja żona, »ja też robię«. czy odpowiada to w rzeczy samej stanowi faktycznemu, nie będziemy tu rozważać, bowiem wierzę mojej żonie. sznur jednak jest, kiedy to moja żona zwinęła żaluzję, zawsze zasupłany. »ona też nie wie«, mówi moja żona, »jak do tego dochodzi, i czyż to jest takie ważne«, pyta. »nie, w ogóle nie jest ważne«, odpowiadam, »fascynuje mnie to tylko, by tak rzec, czysto fizycznie«, wyjaśniam.

w komplikowaniu wszystkiego moja żona jest bezkonkurencyjna, więcej nawet, przechodzi samą siebie. dokładnie rzecz biorąc, nie ma niczego, czego moja żona nie byłaby w stanie robić zawile. jakiegokolwiek z przez nią wykonywanych czynności by się wzięło, wykonuje je ona skomplikowanie, przy czym sprzyja jej w tym jej skłonność do amoku, a w żadnym wypadku nie stoi na przeszkodzie. kiedy moja żona myje okno, a to tylko dlatego ona, ponieważ o tym, że okno musi być umyte, jest przekonana wcześniej niż ja, w którego gestii, jak wiadomo, mycie okien leży, wtedy dzieje się to w sposób, w którym owo okno w tym, jak się zaraz okaże, procesie bardzo szybko odgrywa podrzędną rolę, w tej mierze, że okno to, w obliczu działań, którym moja żona w tym procesie pozwala brać udział, przechodzi w tło i staje się kwestią mało istotną. kiedy w takiej sytuacji, by nie być zmuszonym do brania udziału w tym działaniu oraz na temat jego sensu nie musieć rozmyślać lub zgłotać sens, chcąc zrozumieć, przykładowo wychodzę z psem na spacer lub pod jakimkolwiek innym pozorem opuszczam mieszkanie, wtedy wracam do zupełnie odmienionego mieszkania, do mieszkania, w którym moja żona zajęta jest tym, by kolejny, w relacji do wspomnianego wcześniej, bardzo odległy pokój, jak ona to określa, doprowadzać do porządku. w zależności od czasu trwania mojej nieobecności oraz w zależności od napotkanego po moim powrocie nastroju mojej żony sposobie się do rozmowy lub przynajmniej do wypowiedzi, w której zwracam uwagę na to, iż owa bez wątpienia dość wybujała akcja rozprzestrzenia się w tej mierze, że powinniśmy, niewykluczone, rozważyć możliwość, aby ją jutro lub w jakiś inny dla tego celu odpowiedni dzień kontynuować. w takich wypadkach moja żona mówi, że ja przecież chyba nie oczekuję od niej, iż ona

przystanie na to, aby w tak dalece zapuszczonym mieszkaniu, nawet jeśli ze mną, mieszkać. na co dla mnie, ma się rozumieć, żadna odpowiedź nie jest już możliwa i zmuszony jestem, to, co się tu dzieje, chcąc nie chcąc, znosić.

»nasza okolica jest niezmiernie mglista«, powiedziała ostatnio moja żona. no cóż, to prawda. tyle że mieszkamy w tej okolicy już od dziesięciu lat.

doprowadzić coś do końca jest konceptem, który mojej żonie, co prawda, nie jest nieznanym, bowiem nawet w dużej mierze bliskim, jednak niczym, czym ona się kieruje. gdy mojej żonie, dlaczego, to, powiedzmy, teraz nieważne, kiedy musiała swego czasu wbić sześćset gwoździ w pewną ramę, jako że wytrwałości nigdy nie można było i nikt nie może jej odmówić, już udało się wbić pięćset osiemdziesiąt z owych sześciuset gwoździ, to zrezygnowała ona z wbicia pozostałych dwudziestu i przełożyła tę czynność na później, czekała nawet z wbiciem pozostałych gwoździ dwa dni, a i to najprawdopodobniej tylko dlatego dwa dni, ponieważ ja po tych dwóch dniach mojemu zdziwieniu, że już dwa dni czeka z wbiciem pozostałych dwudziestu gwoździ, dałem wyraz. byłbym owego mojego zdziwienia nie był wyraził, wspomniana przerwa we wbijaniu gwoździ pewnie by się jeszcze bardziej wydłużyła. zagadnięta po wielu tygodniach na okoliczność samego tego fenomenu, moja żona wyraziła przekonanie, iż należy przecież, gdy chce się coś rozsądnie, precyzyjnie i sumiennie zrobić, czekać tak długo, aż to właśnie będzie miało miejsce, czyniąc to zaś natychmiast lub zgoła w stanie wyczerpania, nie można oczekiwać tak precyzyjnych rezultatów, jak ja ich przecież zawsze od niej oczekuję i do jakich przywykłem. może wtedy chodzić już tylko o pochopną akcję, rezultaty której później kiedyś jej gobelin, dla wykonania osnowy którego owe gwoździe w ramę musiały zostać wbite, zniweczą. strata czasu w wymiarze dwóch dni, o ile w tym wypadku w ogóle można mówić o stracie, w obliczu okresu wykonania całej pracy, szacowanego na wiele miesięcy, jakich tego rodzaju duży gobelin wymaga, jest bez znaczenia, czego ja najwyraźniej, tak moja żona, zwracając jej uwagę na stan rzeczy, nie uwzględniłem, do czego ona jednak, ponieważ

mnie zna, przywykła oraz ode mnie inaczej, niż tak, jak i w tym wypadku, nie oczekiwała. prace nad wyrobami tkackimi, trzeba w tym miejscu podkreślić, są jednakże jedynymi, które moja żona, odkąd ją znam, doprowadza do końca. tylko i wyłącznie wyroby tkackie. gdyby natomiast niezakończone i przerwane przez moją żonę przedsięwzięcia spiętrzyć w formie wieży, stałyby się przed górą.

»błoto« to ostatnio ulubione słowo mojej żony, które wielokrotnie w ciągu dnia i wiele razy jedno po drugim, w sposób uzasadniony, jak muszę przyznać, jako że do panującego w naszym mieście brudu się odnosząc, powtarza.

historia z tak i nie. kiedy zapyta się dowolnego człowieka, czy to, co mu się właśnie wyjaśnia, rozumiał, odpowie on stosownie przy pomocy 'tak' lub 'nie' lub pytaniem ze swej strony. oczekiwanie tego od mojej żony jest najzupełniej nie na miejscu. kiedy stawiam mojej żonie jakieś pytanie, usłyszeć mogą zasadniczo i regularnie 'tak'. i teraz decydująca jest wysokość tonu, barwa głosu lub intensywność owego 'tak', z których to cech mam za zadanie wyczytać, czy moja żona to, co jej powiedziałem, rozumiała bądź tego nie rozumiała. po latach studiowania owego 'tak', a zatem odczytywania rzeczywistego nastawienia mojej żony do poruszanej kwestii, doszedłszy do niejkiej wprawy, udaje mi się dzisiaj często zachować spokój. moja żona wydaje się być zdania, że 'tak' jest w dużej mierze pewniejsze niż 'nie', ponieważ owo 'tak', w równym stopniu, nawiasem mówiąc, jak, przez nią jednak nigdy niewypowiedziane, 'nie' byłoby w stanie to czynić, zmusza ją do tego, by z moich dalszych wywodów móc zgadywać, czy wypowiedziane przez nią 'tak' w rzeczy samej było stosowną odpowiedzią. muszę jednak przyznać, niezwykle rzadko zdarza się, że moja żona musi swą decyzję rewidować. co teraz mnie z kolei zadziwia i najpierw prowadzi do pytania, a potem skłania do zastanowienia, skąd moja żona wie, że 'tak' jest bardziej prawdopodobne niż 'nie'. temat opanowanych przez moją żonę do perfekcji zabiegów, przy pomocy których, przyznać muszę, w rzadko tylko pojawiających się wypadkach, w jakich 'nie' byłoby bardziej stosowne, motywuje po powiedzianym 'tak' mimo to jednak wypowiedziane przez nią 'nie', a tym samym początkowe 'tak' niejako ukrywa i zastępuje rzeczywiście przystającym 'nie', bez wzbudzania mojej nieufności, przemilczę. cała ta historia, twierdzi moja żona, z faktem, iż troszeczkę źle słyszy,

które to wyjaśnienie jej zaoferowałem, nie ma nic wspólnego.
mogę mówić, co zechcę.

moja żona często, jeśli zgoła nie zawsze, wychodzi z założenia, jakoby, mimo iż czegoś nie powiedziała, wszyscy wiedzieli, co ona ma na myśli. kiedy coś myśli, sądzi moja żona, to z pewnością wszyscy inni wiedzą, co ona myśli, i rezygnuje z powiedzenia tego, dziwi się potem jednakowoż, dlaczego ci inni reagują inaczej, kiedy przecież ona myśli to samo co oni. moja żona przeocza najprawdopodobniej, że nikt poza nią tego, co ona mniema, nie wie. do tego dochodzi, że moja żona najczęściej mówi to, co do czego zakłada, iż ten inny chce usłyszeć, po to, by mu sprawić przyjemność, mówi moja żona. często zatem zdarza się, że niedoświadczony interlokutor uważa to, co ona wyraziła, za jej opinię. jakie zawikłane komplikacje z tego wynikają, nie trzeba wyjaśniać. swoje opinie bowiem moja żona mianowicie, jeśli w ogóle, zdradza jako ostatnie.

też wszystkie jej działania, owe mojej żony, są najzupełniej bezplanowo przeprowadzanymi działaniami. zarówno podjęcie zamiaru przedsięwzięcia czegoś, sformułowanie jakiegoś planu, a następnie posiadanie tego na uwadze, jak również realizacja takiego przedsięwzięcia, takiego planu są czymś, co jest mojej żonie obce. nie zaczyna ona niczego nie tylko nie w nadziei, by doprowadzić to kiedykolwiek i jakkolwiek do jakiegoś końca, lecz w przekonaniu, iż żywienie takiej nadziei jest czymś najzupełniej zbędnym. plany są mojej żonie nieznane, tak samo jak przekonanie, że plany trzeba byłoby posiadać lub zgoła musieć posiadać. w ciągu tych wielu lat, które się znamy, nigdy nie udało mi się przekonać mojej żony o tym, że posiadanie jakiegoś planu jest czymś przydatnym i korzystnym.

także słowo 'wtupywać' jest przez moją żonę często, i jak uważam, zbyt często, w określonych sytuacjach, bez tego że ja i, jak teraz sądzę, iż mogę stwierdzić, również moja żona tego chce, używane. kiedy na mojej twarzy lub, to jednak rzadziej, na twarzy mojej żony pojawia się pryszcz, wtedy moja żona zachwala natychmiast odkrytą przez nią na rynku maść, która, mówi moja żona, dokładnie przeciw takim zdarzeniom przez przemysł została wynaleziona. ona jednak nie tylko ową maść zachwala, co byłoby jeszcze, jeśli nawet tylko w pewnym stopniu, do zniesienia, lecz ją również stosuje, a to z upodobaniem na mnie, przy czym pokazuje zawsze stosowną w odniesieniu do zastosowania ilość owej maści na swoim palcu, a muszę powiedzieć, że moja żona ma najładniejsze palce, a tym samym ręce, jakie kiedykolwiek widziałem, i nanosi ową maść na znajdujące się na mnie, jak moja żona to wyraża, nieczyste miejsce, i wypowiada wielokrotnie w określonych, widzianych jako głęboko przemyślane i tym samym powodujących powstanie przyjemnego rytmu, odstępach słowo 'wtupywać'. powinieniem, mówi wtedy moja żona, jeśli stosowałbym się do oraz przestrzegałbym polecaną przez nią procedurę lub traktował ją jako sensowną, ową maść »wtupywać«, »tak wtupywać«, na co moja żona ową maść wtupuje. to, że cała ta zastosowana na mnie procedura daje dokładnie tyle samo, co niestosowanie owej procedury, odsuwa moja żona daleko i zdecydowanie od siebie i twierdzi, iż ja nie mam pojęcia, a w kwestiach zdrowotnych jestem ignorantem. ja bowiem, mówi moja żona, skłaniam się przeciw jej pomocy jedynie z uporu, dla którego, tak moja żona, jestem znany i który ze swej strony, w odniesieniu do mnie, jest oślawiony. ona najprawdopodobniej nie będzie mnie mogła już nigdy przekonać. niedługo, nawiasem

mówiąc, zrezygnuje z prób wyjaśniania mi czegokolwiek, i pozostawi mnie sobie. niech się bowiem sam dowiem, jak daleko tym zajdę, mówi moja żona. kiedy zaś zdarzy się, jak wspomniałem, w najwyższym stopniu rzadko, że moja żona stwierdzi na sobie wystąpienie pryszczu, wtedy również przychodzi z kropelką maści na palcu do mnie i wyjaśnia mi ową procedurę, tym razem jednak tęże demonstrując na sobie, również tymi samymi słowami, ale z innym wnioskiem końcowym. słowa »wtupywać« moja żona poza tym nie używa nigdy.

cała historia z myciem okien. okna myję chętnie i w najwyższej mierze starannie, do tego stopnia, że potem szyby w tym sensie dają się widzieć, że ich się już w ogóle nie widzi. dziwnym trafem niezmiennie rzadko jednak do tej czynności z mojej strony dochodzi, ponieważ momentu, w którym ja umycie tego czy owego okna lub też wszystkich naszych okien uważam za wskazane lub zgoła konieczne, z momentem, w którym moja żona to mniema, a mianowicie by mycie okien uważać za konieczne, nie da się pogodzić, a często nawet obydwie te momenty stoją w jaskrawej sprzeczności wobec siebie, w tym sensie, że moment, przez moją żonę uznany za odpowiedni, w relacji do momentu, uznanego przeze mnie za taki, dalece ten ostatni poprzedza. jak długo już jestem razem z moją żoną, jeszcze nigdy nie udało mi się jej wyjaśnić, że to mój moment jest właściwym, a w każdym wypadku stosownym. dyskusję na ten temat moja żona bowiem odrzuca wskazówką, że przecież ona mnie zna i nie zamierza już o tym dyskutować, ona myje okna wtedy, kiedy te są brudne, a nie, kiedy jakieś tam momenty się pojawiły lub nie pojawiły. to jest dla niej oczywiste.

też prostych odpowiedzi moja żona nie potrafi udzielać. kiedy pytam ją na przykład, »gdzie tę doniczkę mam odstawić?«, przy czym uwzględnić trzeba, że w odniesieniu do doniczek mojej żony zawsze i wyłącznie chodzi o olbrzymie doniczki, wtedy moja żona co prawda odpowiada na to pytanie, ta jej odpowiedź jednak nie jest żadną, jakiej udzieliliby wszyscy inni ludzie na takie pytanie, lecz jest jakąś historią, długą lub dłuższą oraz wyczerpującą, nigdy jednak nie jest to historia krótka, a w żadnym wypadku odpowiedź, która mnie, jak w tym przykładzie, szybciej mogłaby wprowadzić w sytuację, by móc ową donicę w miejscu, w którym życzy tego sobie moja żona, odstawić, co, kiedy uwzględni się wagę owej donicy oraz ponadto mój wiek, stanowi dla mnie, jednakowoż tylko dla mnie, moje gorące życzenie. unikanie pytań skierowanych do mojej żony lub sytuacji, w których pojawienie się takich pytań staje się prawdopodobne, nie jest korzystne ani w tej, ani w podobnych sytuacjach. swojej historii bowiem moja żona, czy to przez to, że na mnie czyha, czy to przez to, że ja nieostrożnie sam krzyżuję jej drogę, w każdym wypadku daje wyraz.

jeśli mojej żonie zwykle nie udaje się nic, a w każdym razie nic, co, jeśli nawet tylko w niewielkim stopniu, ma coś wspólnego z techniką, to w przeciwieństwie do tego jej rośliny rozwijają się, a w szczególności juka, w wymiarze, który określić można i trzeba tylko jako niepotrzebny. chodzi w tym wypadku o wymiary, które, jakkolwiek rośliny traktować jako naturalne, nie można już określić jako naturalne. o ile zatem rośliny, a w szczególności juka, mają sens, o tyle jest to jedynym sensownym, które można wiązać z moją żoną.

obchodzenie się mojej żony z substancjami chemicznymi, w szczególności ze środkami ochrony roślin i środkami przeciwko owadom, da się, kiedy miało się okazję obserwować obchodzenie się mojej żony z tymi substancjami, określić tylko jako lekkomyślne, jako najzupełniej lekkomyślne, szczególnie ponieważ chemia, jak, nawiasem mówiąc, również fizyka i biologia, a ponadto także nauki inżynierskie, dla mojej żony są czymś najzupełniej obcym oraz, jak określa to moja żona, wyjątkowo podejrzanym. gdyby nie było chemii, mówi moja żona dosłownie, świat wyglądałby zupełnie inaczej, w każdym razie byłby to prostszy świat.

słowo 'łańcuch' pojawia się ostatnio, ponieważ od jakiegoś czasu przeprowadzamy renowację naszego domu, w słownictwie mojej żony dość często. twierdzi ona, co się zgadza, że przeprowadzane na i w naszym domu prace podobne są do łańcucha, gdyż każda rozpoczęta praca pociąga za sobą inną, przedtem nieprzewidywaną lub choćby tylko przeczuwaną, która w tym momencie staje się palącą, aby następnie pociągnąć za sobą kolejną, która ze swej strony czyni konieczną kolejną i tak dalej. w ten sposób prace w naszym domu jawią się być, mówi moja żona, nigdy niekończącym się łańcuchem. »to jest łańcuch«, »to wszystko jest łańcuchem«, czym moja żona, mówiąc to, jak zakładam, chce wyrazić obawę, że nigdy nie zakończymy owych prac renowacyjnych. dlaczego tę swą obawę nie wyraża przy pomocy dłuższej wypowiedzi lub zgoła rozmowy, w miejsce stałego powtarzania słowa 'łańcuch', »to jest łańcuchem«, pozostaje dla mnie niezrozumiałym. sądzę, że moja żona odkryła przy okazji naszych prac renowacyjnych, że świat składa się z powiązanych ze sobą części i łączy się w związaną ze sobą całość, co ona przy pomocy słowa 'łańcuch' i jego stałego powtarzania na swój sposób stara mi się powiedzieć.

moje sztuki kulinarne, które, co prawda, bez wątpienia istnieją, z trudem tylko jednak określić można jako sztuka lub nawet tylko jako umiejętność, przez moją żonę są przychylnie, jednakowoż milcząco znoszone. zagadnięta przeze mnie na tę okoliczność, a więc powiedzmy zapytana, »smakuje ci jedzenie«, moja żona odpowiada, »tak, bardzo smaczne«. że ja jej, skonfrontowany z taką wypowiedzią, nie wierzę, moja żona zdaje się nie zauważać. do podejrzenia, że moja żona wobec moich nieoczekiwane wybuchłych aktywności kulinarnych jest zazdrosna, nie ma powodu. to dla mnie oczywiste.

także w najwyższym stopniu prostych stanów rzeczy moja żona nie potrafi wyjaśnić, jak w ogóle niczego wyjaśniać. dany stan rzeczy jako taki, w tym, co moja żona uważa za wyjaśnienie, było nie było, się pojawia, dokładnie rzecz biorąc jedynie jego części, odłamki, te jednakowoż jak zatem i całe wyjaśnienie przetkane są wieloma innymi, również najczęściej niepełnymi, rozpoczętymi, a następnie już nigdy niekontynuowanymi lub kończonymi zdaniami, przetkane w sposób, który następnie owo wyjaśnienie przesuwa najzupełniej w tło, ukazując je jako niemile widziany i zasadniczo zbędny balast. samo wyjaśnienie staje się, nawet jeśli moja żona nie ustaje w twierdzeniu, iż rzecz ma się dokładnie odwrotnie, najzupełniej nieważne. nie to, czego od mojej żony oczekuję, a zatem wyjaśnienie, się pojawia, lecz stale inny stan rzeczy lub zgoła wiele innych stanów rzeczy, co do których jednak zakładam i zmuszony jestem zakładać, że są one w gruncie rzeczy tym, co moja żona właściwie miała zamiar mi opowiedzieć. w rezultacie już od dziesięcioleci nie proszę mojej żony, żeby mi coś wyjaśniła, a jeśli nieostrożnie jednak tak, nie oczekuję żadnego wyjaśnienia, lecz daję mojej żonie okazję do prowadzenia ze mną rozmowy.

ostatnio moja żona powiedziała, że odkryta właśnie przeze mnie w kuchni bombonierka była dla niej objawieniem, nie ta, przeze mnie teraz znaleziona, lecz inna, przed trzydziestoma pięcioma laty jej podarowana, a mianowicie kiedy po raz pierwszy była w paryżu, gdzie jej jej, mniejsza o to dlaczego, żyjąca tam i przez moją żonę tak samo jak francja nielubiana siostra lub też jakaś inna osoba, tego już sobie dzisiaj dokładnie nie przypomina, taką właśnie bombonierkę, to znaczy bombonierkę tego samego producenta podarowała. ta, w gruncie rzeczy, puszka jest dla niej, również dzisiaj jeszcze, powiedziała moja żona, stale objawieniem, jak i powodem tego, że, przyjeżdżając do francji, puszkę tego właśnie producenta nabywa drogą kupna, a w konsekwencji mnie następnie ową historię z puszką opowiada, mimo iż ja, jak moja żona najprawdopodobniej wie, historię tę znam aż za dobrze i już jej właściwie nie chcę więcej słyszeć.

12 stycznia – 14 lipca 2002

rozmowy ☐ z moim mężem
codzienne temuż dedykowane

byłaby to w sumie, miałabym kiedykolwiek zamiar tę historię opowiedzieć, w pewnym sensie historia troski, dla której, aby ją komuś opowiedzieć lub uzmysłwić, w ogóle nie byłabym pewnie w stanie znaleźć tej ilości czasu, jaka dla opowiedzenia owej historii byłaby stosowna. historia, w której, aby, też kiedy teraz nie jest tu obecny, go uspokoić, nie, jak się częstokroć oraz, tego zdania również jestem, nie bez powodu obawiał, ja, lecz choć raz właśnie mój mąż stoi na pierwszym planie. byłaby to, gdyby tę historię można było opowiedzieć, swego rodzaju historia o niedociągnięciach tego mojego męża w kwestii bycia w zgodzie, nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu i jak dotąd próbnie, z czasem. o ile z wyjątkiem tegoż męża cała ludzkość, a przynajmniej ta jej część, dla której czas jest czymś, co bierze się poważnie, wie, ile czasu dla przeprowadzenia jakiejś czynności, a mianowicie takiej, z którą w przeciągu lat do woli można się było zaznajomić, jest wymagane, aby tę czynność zakończyć w chwili, w której inna czynność, a dokładniej, tej innej czynności początek, a to, chcąc rozwiązać ewentualne wątpliwości, powiem, w porozumieniu z tym mężem, a nierzadko na jego stanowcze życzenie, został ustalony, o tyle mój mąż tego nie wie. temu mężowi jeszcze nigdy nie udało się, czyli, jak mogę założyć, niemożliwym jest, skorelować zakończenia jakiejś czynności z rozpoczęciem jakiejś innej, również zaplanowanej. stale jakaś czynność, jakakolwiek czynność by to była, się co prawda z początkiem innej, przez mojego męża wtedy uznaną za konsekwentną, nigdy jednak z również przeze mnie jako taką właśnie widzianą lub zgoła przez nas oboje ustaloną czynnością, nie kończy. często wtedy mój mąż pyta, nierzadko z prawie już nieukrywanym gniewem, cóżże chcę, wszystko przecież bez wątpienia płynnie przechodzi jedno w drugie. kie-

dy zaś odpowiadam, że w rzeczy samej to tylko do jego, jednakowoż nie do moich lub zgoła do naszych czynności przystaje i w takiej sytuacji to właśnie ja zmuszona jestem brać wzgląd, wtedy mój mąż mnie nie rozumie.

też zdarza się często, że pewnemu zdenerwowaniu wobec zachowania mojego męża nie mogę w jego obecności, a zatem wobec niego, dać wyraz, ponieważ w takich wypadkach skłania się on ku temu, by zarzucać mi, iż to przecież ja sama jestem tą, która powoduje powstawanie stresu, nie on. często natomiast daję się wtedy nakłonić do repliki.

koncepcja czasu mojego męża była dla mnie zawsze zagadką oraz, a proszę zważyć, mój mąż dzisiaj, tak samo jak ja, jest w wieku pięćdziesięciu lat, na zawsze zagadką pozostanie. temu jednak, twierdzi mój mąż, jestem tylko i wyłącznie ja winna, gdyby nie było moich ciągle powtarzanych uwag, świat byłby w najlepszym porządku. kiedy pytam mojego męża, czyżże świat, żałuję w tym samym momencie faktu postawienia tego pytania i postanawiam na przyszłość w takich i podobnych wypadkach milczeć.

też zdarza się często, że jakaś uwaga z mojej strony prowadzi do innej, takiej mojego męża jednakże, który tę moją, w gruncie rzeczy niepotrzebną, uwagę traktuje jako asumpt do przedstawienia mi pewnego zdarzenia, na temat którego, w rzeczy samej, nic nie chcę wiedzieć. przez to jednak wprowadzam się w sytuację konieczności przyznania, że to, co się teraz dzieje, przypisać muszę sobie samej. w niczym nie poprawia sytuacji chęć przekonania mnie, iż poczynioną uwagę poczyniłam jedynie z uprzejmości, z czystej sympatii i właściwego mi zrozumienia dla sytuacji mojego męża.

rzadko tylko da się jakiś rozpoznawalny związek między właśnie przeze mnie oraz, na tę okoliczność, przez mojego męża powiedzianym stwierdzić, przynajmniej w ostatnich latach prawie wcale. powiem bowiem na przykład, »ktoś jednakowoż umieścił na sobie dużo perfum«, mój mąż odpowiada, iż poci się w ostatnim czasie sporo.

na moją poczynioną przeze mnie wobec mojego męża uwagę,
niechże on proszę nie robi znowu stresu, nie otrzymałam odpo-
wiedzi. po raz kolejny, jak zmuszona jestem przyznać.

także technicznych kwestii mój mąż nie przeżył nigdy. takich na przykład, które tworzą relacje z kablem od odkurzacza. odległość między określonym, poddanym czyszczeniu, miejscem a służącym do tego celu odkurzaczem jest w danym wypadku, w zależności od lokalizacji i zmiany lokalizacji owego odkurzacza, zawsze stałą wielkością, którą, co prawda nie wyłącznie, niemniej najłatwiej, poprzez stosowne wyciągnięcie kabla od odkurzacza można zniwelować, a tym samym dopasować do aktualnej sytuacji. moje, pomyślane jako wskazówka i przeprowadzane w milczeniu, działania, jak na przykład odpowiadające zastanym okolicznościom wyciągnięcie zwiniętego kabla z obudowy odkurzacza, a mianowicie w sposób, który nie może przez mojego męża pozostać niezauważonym, nie przynoszą żadnych skutków. rozmowy na ten temat należą między nami do przeszłości.

innymi słowy, kiedy mój mąż używa odkurzacza, co na szczęście rzadko ma miejsce, jako że ja, jak zakładam za jego zgodą, uprzedzam go najczęściej w użytkowaniu odkurzacza, z powodu, co chciałabym podkreślić, mojego umiłowania dla porządku i czystości, a nie z jakkolwiek rozumianej miłości czy sympatii do mojego męża, wtedy nie wyciąga on kabla z odkurzacza nigdy tak dalece, jak byłoby to koniecznym, kiedy chciałoby się odkurzyć to, co przedsięwzięło się odkurzyć, lecz zawsze za mało, co mnie wtedy skłania, bez słowa, do tego, by ów za mało z odkurzacza wyciągnięty kabel, w sposób w najwyższym stopniu oczywisty i naturalny, wyciągnąć teraz na tyle, by bardziej odpowiadało to okolicznościom. całe to zdarzenie jest przez mojego męża bez słowa znoszone, a przeze mnie także wykonywane.

ostatnio zapytałam mojego męża, nie mając na myśli niczego szczególnego, a właściwie jedynie po to, aby moją uprzejmość, która w ostatnim czasie co nieco rzadko dochodziła do głosu, wydobyć znowu na światło dzienne, »czy mogę ci może pomóc«, na co mój mąż, przygotowujący właśnie kolację, odpowiedział, »cóż, robię po prostu grzyby z małą ilością kuskus«. kontynuacja rozmowy jawiła mi się od tej chwili niemożliwą.

również guzików na urządzeniach technicznych mój mąż nie potrafi w sposób tym guzikom odpowiadający naciskać. wie on, co prawda, do czego owe guziki służą, i co, kiedy się je już nacisnęło, można tym osiągnąć, ale to właśnie jest tym, co mojemu mężowi za nic w świecie nie chce się udać. kiedy należy, jak często ma to miejsce, gdy chce się coś przy pomocy takiego urządzenia spowodować, nacisnąć jakiś guzik dwa razy, dwa razy pod rząd, co chcę podkreślić, wtedy nie udaje się mojemu mężowi znaleźć koniecznego w tym celu rytmu. naciska go on, jakikolwiek guzik by nacisnął, po prostu zbyt wolno pod rząd i tym samym nie dochodzi do rezultatu przez niego najwyraźniej oczekiwanej akcji. świat, w którym guziki, a mianowicie wszystkie i zawsze, należałoby naciskać tylko raz, byłby mu miłym, powiedział ostatnio mój mąż. zdarza się jednakowoż nierzadko, że właśnie te guziki, które należy nacisnąć tylko raz, przez mojego męża w tej mierze długo są naciskane, iż traktowane przez niego w ten sposób urządzenie interpretuje to jako dwukrotne naciśnięcie i co prawda wykonuje akcję, jednakże nie tę, którą mój mąż miał nadzieję wywołać, czyli taką, która wymagała jednokrotnego naciśnięcia guzika. w takich wypadkach ograniczam się, jak mam to w zwyczaju, do zdań typu »raz nacisnąć« lub »dwukrotnie nacisnąć«. co mojego męża, jak natychmiast mi mówi, czyni nerwowym.

»to co«, zapytałam ostatnio, »zrobimy coś do jedzenia?«. na to mój mąż odpowiedział, »tak, zjadłem bułkę«. co mnie, kiedy się wie, że posiłek mojego męża częstokroć składa się z jednej właśnie bułki, nie tylko nie prowadzi ani o krok do przodu, a i również nie z powodu bułki zadziwia, lecz zawsze tylko skłania do namysłu, a mianowicie o tym, cóżże mój mąż swą uwagę mógł być mieć na myśli lub chciał osiągnąć. cały następujący po tym czas, w którym zajęta jestem przygotowaniem jedzenia, co nawiasem mówiąc, czynię zawsze i chętnie, myślę o powodzie i celu jego uwagi i nie dochodzę do żadnego przekonującego rezultatu. postawienia stosownego i tym samym wszystko rozwiązującego pytania unikam, ponieważ na okoliczność takich i podobnych sytuacji już przed laty zrezygnowałam choćby z pomyślenia o stawianiu pytania. z obawy w gruncie rzeczy. z obawy przed uzyskaniem tak samo wątpliwego wyjaśnienia stanu rzeczy ze strony mojego męża, jak je również w tym wypadku uzyskałam.

że mój mąż spożył już śniadanie, poznaję do późna w dzień po tym, że na parapecie jego pokoju leży lekko nadgryziona bułka lub także nadgryziona kromka chleba. kiedy kiedyś zagadnęłam mojego męża na tę okoliczność, wyraził on pogląd, iż moje obawy są w najwyższym stopniu nieuzasadnione, gdyż on swą bułkę już zje. gwoli sprawiedliwości należy może dodać, że wspomniana bułka lub też kromka chleba w rzeczy samej po południu znika. nierzadko jednak, i również to jest prawdą, odnajduję później ów nadgryziony kawałek posiłku w innym, często dość osobliwym miejscu. z tego powodu, nie bez zadziwienia, postanowiłam ostatecznie kwestii tej wobec mojego męża już nie poruszać.

amok. jedną spośród najbardziej wzbudzających u mnie obawy właściwości mojego męża nie jest sam amok, lecz raczej rozmowa, czyniąca go dopiero tym, co poprzez tę rozmowę właściwie wierzyłam, iż zmuszona jestem zadać sobie trud zapobiegnięcia mu, a mianowicie owemu amokowi. bez wątplenia powinno być znanym, że mój mąż skłania się ku temu, by określonej czynności nie kończyć w tym punkcie, w którym pozostała ludzkość ową czynność kończy, lecz rozpoczętą przez niego czynność rozciągać w taki sposób i w tej mierze, że na końcu, o którym w tym wypadku jednak nie może być mowy, dla przykładu, całe nasze mieszkanie stoi na głowie. coś, co zwykle się powszechnie określać jako koniec, wydaje się mojemu mężowi być obce. dla niego wszystko łączy się w sposób płynny ze sobą. zjawisko to nie byłoby dalej problematyczne, jak również warte wspominania, gdybym nie skłaniała się, chcąc mojemu mężowi pomóc, co bezsprzecznie mam w zwyczaju, stale do tego, by musieć chcieć coś powiedzieć, a mianowicie coś, co pomogłoby mojemu mężowi, z kręgu, w który, moim zdaniem, sam się wmanewrował, wystąpić, a tym samym sprowadzić go na powrót w świat, w którym każda czynność posiada koniec. kiedy w takich sytuacjach, wbrew własnemu przeświadczeniu oczywiście, gdyż wiem przecież, dokąd to prowadzi, mówię, »czy nie chcielibyśmy może już teraz skończyć«, konfrontowana jestem z odpowiedzią typu, »nie mogę znieść tego brudu«. »możemy to przecież też później zrobić«, mówię wtedy, najczęściej bardzo niepewnie, zaś w odpowiedzi słyszę, »tobie to wszystko najwyraźniej nie przeszkadza, ty mogłabyś tak żyć«. i jeśli dokładnie w tym momencie natychmiast nie opuszczę pomieszczenia, a tym samym przerwę wymianę zdań, spada na mnie rozmowa oraz następnie, w sposób, w jaki

kontynuowała się również rozpoczęta przez mojego męża, z początku prosta czynność, którą ja moją uwagę chciałam zakończyć, się kontynuuje. kiedy nieostrożnie przegapiam ten moment i nie opuszczam pokoju lub mieszkania, wtedy jestem, a w rezultacie również mój mąż, to znaczy jesteśmy oboje, straceni. poczucia zagubienia mojego męża, przynajmniej w tym momencie, nie da się stwierdzić. wyraża on, co więcej, pogląd, że wszystko, jakoby, jest jak zawsze moją winą, byłaby mu tylko pozwoliła wykonywać jego pracę, wtedy byłby ją teraz już zakończył. z doświadczenia, ponieważ już się mu nie sprzeciwiam, wiem, że to nieprawda.

z jednej chwili na drugą mój mąż jest niezadowolony, a potem znowu pogodnie usposobiony w następnej chwili. nie byłoby to niczym szczególnym, gdyby owa przemiana nie odbywała się tak raptownie. niepomyślnie w tym jest to, że ja to zawsze już przedtem wiem. kiedy, przez nieostrożność, zagadnę mojego męża na tę okoliczność, zaprzecza on posiadaniu złego nastroju. kiedy zaś jest w pogodnym nastroju, popada, przeze mnie na tę okoliczność zagadnięty, w niezadowolenie, wyrażające się tym, że przyczynę dla jego nastroju mniema on odnajdywać we mnie. ma się rozumieć, opinia czysto obronna z jego strony. tylko przed czym ma on zamiar się bronić, pytam się czasem. bezpośredniej rozmowy o tym jednak mój mąż unika. twierdzi jedynie, że chcę go tylko zniepokoić i jemu coś, co się tak wcale nie zgadza, wmówić.

krótkich rozmów z moim mężem praktycznie nie da się opowiedzieć. kiedy mówię, »wróć dzisiaj do domu około trzynastej«, mój mąż odpowiada, to nie jest problem, on nie ma żadnych planów. co mnie wtedy nie tylko przeraża, lecz również zmusza do przemyśleń, jednakowoż nie pozwala dojść do żadnego rozwiązania. już nawet nie zgaduję, co mój mąż mógł być mieć na myśli.

przez wiele godzin przygotowuję sobie czasem rozmowę z moim mężem, której to rozmowy później, kiedy wraca on lub ja wracam do domu, wcale nie prowadzę, ponieważ mój mąż mnie, po moim lub jego powrocie, czymś, o czym wcale nie myślałam, o czym zgoła nie mogłam była pomyśleć, kiedy przygotowywałam sobie rozmowę z moim mężem, zaskakuje.

zawsze, kiedy mój mąż wraca do domu, obawiam się, a w międzyczasie mam już nawet pewność, że kiedy wejdzie, natychmiast opowie mi podniecającą go historię, która mu się przydarzyła. rzadko tylko muszę się wyprowadzać z błędu. ludzie, których mój mąż, będąc poza domem, napotyka na swej drodze, muszą być potworni. kiedy natomiast ja wychodzę z domu, wtedy wiem, że, powróciwszy, również zostanie mi opowiedziana podniecająca go historia, mimo iż mój mąż nikogo nie spotkał. opowiada on wtedy po prostu jakieś wcześniejsze wydarzenie, które sobie podczas mojej nieobecności, poprzez tę moją nieobecność, przypomniat. nie chodzi jednak nigdy o ową historię, lecz o to, co w niej potworne, co mogło się było wydarzyć bądź nie.

problem z żaluzją. przy czym to nie sama żaluzja i nie żaluzja jako taka jest problematyczna czy interesująca, lecz sznur, który, jak wszyscy, w tym również mój mąż, wiedzą, zawsze jest trochę dłuższy, niż w danym wypadku byłoby to konieczne. za długi jednakowoż tylko wtedy, kiedy, jak czyni to mój mąż, nie uwzględnia się technicznych i ekonomicznych wymogów związanych z żaluzjami. ten więc zawsze co nieco za długi sznur mój mąż w każdym wypadku i w każdych okolicznościach jest w stanie zasupłać. kiedy ja zwijam żaluzję, wtedy czysto i precyzyjnie zwinięty sznur zawieszam na w tym celu przedtem ustalonym przedmiocie, abym, jak to jest w moim zwyczaju, ów sznur, jeśli będę musiała lub chciała żaluzję znowu opuścić, mogła z tego przedmiotu znowu zdjąć i żaluzję opuścić, bez konieczności zajmowania się przedtem uciążliwym rozsypywaniem poskręcanego sznura. »dokładnie to samo«, odpowiada zagadnięty na tę okoliczność mój mąż, »ja też robię«. czy odpowiada to w rzeczy samej stanowi faktycznemu, nie będziemy tu rozważać, bowiem wierzę mojemu mężowi. sznur jednak jest, kiedy to mój mąż zwinął żaluzję, zawsze zasupłany. »on też nie wie«, mówi mój mąż, »jak do tego dochodzi, i czyż to jest takie ważne«, pyta. »nie, w ogóle nie jest ważne«, odpowiadam, »fascynuje mnie to tylko, by tak rzec, czysto fizycznie«, wyjaśniam.

w komplikowaniu wszystkiego mój mąż jest bezkonkurencyjny, więcej nawet, przechodzi samego siebie. dokładnie rzecz biorąc, nie ma niczego, czego mój mąż nie byłby w stanie robić zawile. jakiegokolwiek z przez niego wykonywanych czynności by się wzięło, wykonuje je on skomplikowanie, przy czym sprzyja mu w tym jego skłonność do amoku, a w żadnym wypadku nie stoi na przeszkodzie. kiedy mój mąż myje okno, a to tylko dlatego on, ponieważ o tym, że okno musi być umyte, jest przekonany wcześniej niż ja, w której gestii, jak wiadomo, mycie okien leży, wtedy dzieje się to w sposób, w którym owo okno w tym, jak się zaraz okaże, procesie bardzo szybko odgrywa podrzędną rolę, w tej mierze, że okno to, w obliczu działań, którym mój mąż w tym procesie pozwala brać udział, przechodzi w tło i staje się kwestią mało istotną. kiedy w takiej sytuacji, by nie być zmuszoną do brania udziału w tym działaniu oraz na temat jego sensu nie musieć rozmyślać lub zgoła ów sens chcieć zrozumieć, przykładowo wychodzę z psem na spacer lub pod jakimkolwiek innym pozorem opuszczam mieszkanie, wtedy wracam do zupełnie odmienionego mieszkania, do mieszkania, w którym mój mąż zajęty jest tym, by kolejny, w relacji do wspomnianego wcześniej, bardzo odległy pokój, jak on to określa, doprowadzać do porządku. w zależności od czasu trwania mojej nieobecności oraz w zależności od napotkanego po moim powrocie nastroju mojego męża sposobie się do rozmowy lub przynajmniej do wypowiedzi, w której zwracam uwagę na to, iż owa bez wątpienia dość wybujała akcja rozprzestrzenienia się w tej mierze, że powinniśmy, niewykluczone, rozważyć możliwość, aby ją jutro lub w jakiś inny dla tego celu odpowiedni dzień kontynuować. w takich wypadkach mój mąż mówi, że ja przecież chyba nie oczekuję od niego, iż on

przystanie na to, aby w tak dalece zapuszczonym mieszkaniu,
nawet jeśli ze mną, mieszkać. na co dla mnie, ma się rozumieć,
żadna odpowiedź nie jest już możliwa i zmuszona jestem, to,
co się tu dzieje, chcąc nie chcąc, znosić.

»nasza okolica jest niezmiernie mglista«, powiedział ostatnio mój mąż. no cóż, to prawda. tyle że mieszkamy w tej okolicy już od dziesięciu lat.

doprowadzić coś do końca jest konceptem, który mojemu mężowi, co prawda, nie jest nieznanym, bowiem nawet w dużej mierze bliskim, jednak niczym, czym on się kieruje. gdy mojemu mężowi, dlaczego, to, powiedzmy, teraz nieważne, kiedy musiał swego czasu wbić sześćset gwoździ w pewną ramę, jako że wytrwałości nigdy nie można było i nikt nie może mu odmówić, już udało się wbić pięćset osiemdziesiąt z owych sześciuset gwoździ, to zrezygnował on z wbicia pozostałych dwudziestu i przełożył tę czynność na później, czekał nawet z wbiciem pozostałych gwoździ dwa dni, a i to najprawdopodobniej tylko dlatego dwa dni, ponieważ ja po tych dwóch dniach mojemu zdziwieniu, że już dwa dni czeka z wbiciem pozostałych dwudziestu gwoździ, dałam wyraz. byłabym owego mojego zdziwienia nie była wyraziła, wspomniana przerwa we wbijaniu gwoździ pewnie by się jeszcze bardziej wydłużyła. zagadnięty po wielu tygodniach na okoliczność samego tego fenomenu, mój mąż wyraził przekonanie, iż należy przecież, gdy chce się coś rozsądnie, precyzyjnie i sumiennie zrobić, czekać tak długo, aż to właśnie będzie miało miejsce, czyniąc to zaś natychmiast lub zgoła w stanie wyczerpania, nie można oczekiwać tak precyzyjnych rezultatów, jak ja ich przecież zawsze od niego oczekuję i do jakich przywykłam. może wtedy chodzić już tylko o pochopną akcję, rezultaty której później kiedyś jego gobelin, dla wykonania osnowy którego owe gwoździe w ramę musiały zostać wbite, zniweczą. strata czasu w wymiarze dwóch dni, o ile w tym wypadku w ogóle można mówić o stracie, w obliczu okresu wykonania całej pracy, szacowanego na wiele miesięcy, jakich tego rodzaju duży gobelin wymaga, jest bez znaczenia, czego ja najwyraźniej, tak mój mąż, zwracając mu uwagę na stan rzeczy, nie uwzględniłam, do czego on jednak, ponieważ

mnie zna, przywykł oraz ode mnie inaczej, niż tak, jak i w tym wypadku, nie oczekiwał. prace nad wyrobami tkackimi, trzeba w tym miejscu podkreślić, są jednakże jedynymi, które mój mąż, odkąd go znam, doprowadza do końca. tylko i wyłącznie wyroby tkackie. gdyby natomiast niezakończone i przerwane przez mojego męża przedsięwzięcia spiętrzyć w formie wieży, stałoby się przed górą.

»błoto« to ostatnio ulubione słowo mojego męża, które wielokrotnie w ciągu dnia i wiele razy jedno po drugim, w sposób uzasadniony, jak muszę przyznać, jako że do panującego w naszym mieście brudu się odnosząc, powtarza.

historia z tak i nie. kiedy zapyta się dowolnego człowieka, czy to, co mu się właśnie wyjaśnia, rozumiał, odpowie on stosownie przy pomocy 'tak' lub 'nie' lub pytaniem ze swej strony. oczekiwanie tego od mojego męża jest najzupełniej nie na miejscu. kiedy stawiam mojemu mężowi jakieś pytanie, usłyszeć mogę zasadniczo i regularnie 'tak'. i teraz decydująca jest wysokość tonu, barwa głosu lub intensywność owego 'tak', z których to cech mam za zadanie wyczytać, czy mój mąż to, co mu powiedziałam, rozumiał bądź tego nie rozumiał. po latach studiowania owego 'tak', a zatem odczytywania rzeczywistego nastawienia mojego męża do poruszanej kwestii, doszedłszy do niejkiej wprawy, udaje mi się dzisiaj często zachować spokój. mój mąż wydaje się być zdania, że 'tak' jest w dużej mierze pewniejsze niż 'nie', ponieważ owo 'tak', w równym stopniu, nawiasem mówiąc, jak, przez niego jednak nigdy niewypowiadane 'nie' byłoby w stanie to czynić, zmusza go do tego, by z moich dalszych wywodów móc zgadywać, czy wypowiedziane przez niego 'tak' w rzeczy samej było stosowną odpowiedzią. muszę jednak przyznać, niezwykle rzadko zdarza się, że mój mąż musi swą decyzję rewidować. co teraz mnie z kolei zadziwia i najpierw prowadzi do pytania, a potem skłania do zastanowienia, skąd mój mąż wie, że 'tak' jest bardziej prawdopodobne niż 'nie'. temat opanowanych przez mojego męża do perfekcji zabiegów, przy pomocy których, przyznać muszę, w rzadko tylko pojawiających się wypadkach, w jakich 'nie' byłoby bardziej stosowne, motywuje po powiedzianym 'tak' mimo to jednak wypowiedziane przez niego 'nie', a tym samym początkowe 'tak' niejako ukrywa i zastępuje rzeczywiście przystającym 'nie', bez wzbudzania mojej nieufności, przemilczę. cała ta historia, twierdzi mój mąż, z faktem, iż troszeczkę

źle słyszy, które to wyjaśnienie mu zaoferowałam, nie ma nic wspólnego. mogę mówić, co zechcę.

mój mąż często, jeśli zgoła nie zawsze, wychodzi z założenia, jakoby, mimo iż czegoś nie powiedział, wszyscy wiedzieli, co on ma na myśli. kiedy coś myśli, sądzi mój mąż, to z pewnością wszyscy inni wiedzą, co on myśli, i rezygnuje z powiedzenia tego, dziwi się potem jednakowoż, dlaczego ci inni reagują inaczej, kiedy przecież on myśli to samo co oni. mój mąż przeczo najprawdopodobniej, że nikt poza nim tego, co on myśli, nie wie. do tego dochodzi, że mój mąż najczęściej mówi to, co do czego zakłada, iż ten inny chce usłyszeć, po to, by mu sprawić przyjemność, mówi mój mąż. często zatem zdarza się, że niedoświadczony interlokutor uważa to, co on wyraził, za jego opinię. jakie zawikłane komplikacje z tego wynikają, nie trzeba wyjaśniać. swoje opinie bowiem mój mąż mianowicie, jeśli w ogóle, zdradza jako ostatnie.

też wszystkie jego działania, owe mojego męża, są najzupełniej bezplanowo przeprowadzanymi działaniami. zarówno podjęcie zamiaru przedsięwzięcia czegoś, sformułowanie jakiegoś planu, a następnie posiadanie tego na uwadze, jak również realizacja takiego przedsięwzięcia, takiego planu są czymś, co jest mojemu mężowi obce. nie zaczyna on niczego nie tylko nie w nadziei, by doprowadzić to kiedykolwiek i jakkolwiek do jakiegoś końca, lecz w przekonaniu, iż żywienie takiej nadziei jest czymś najzupełniej zbędnym. plany są mojemu mężowi nieznane, tak samo jak przekonanie, że plany trzeba byłoby posiadać lub zgoła musieć posiadać. w ciągu tych wielu lat, które się znamy, nigdy nie udało mi się przekonać mojego męża o tym, że posiadanie jakiegoś planu jest czymś przydatnym i korzystnym.

także słowo 'wtupywać' jest przez mojego męża często, i jak uważam, zbyt często, w określonych sytuacjach, bez tego że ja i, jak teraz sądzę, iż mogę stwierdzić, również mój mąż tego chce, używane. kiedy na mojej twarzy lub, to jednak rzadziej, na twarzy mojego męża pojawia się pryszcz, wtedy mój mąż zachwala natychmiast odkrytą przez niego na rynku maść, która, mówi mój mąż, dokładnie przeciw takim zdarzeniom przez przemysł została wynaleziona. on jednak nie tylko ową maść zachwala, co byłoby jeszcze, jeśli nawet tylko w pewnym stopniu, do zniesienia, lecz ją również stosuje, a to z upodobaniem na mnie, przy czym pokazuje zawsze stosowną w odniesieniu do zastosowania ilość owej maści na swoim palcu, a muszę powiedzieć, że mój mąż ma najładniejsze palce, a tym samym ręce, jakie kiedykolwiek widziałam, i nanosi ową maść na znajdujące się na mnie, jak mój mąż to wyraża, nieczyste miejsce, i wypowiada wielokrotnie w określonych, widzianych jako głęboko przemyślane i tym samym powodujących powstanie przyjemnego rytmu, odstępach słowo 'wtupywać'. powinnam, mówi wtedy mój mąż, jeśli stosowałabym się do oraz przestrzegałabym polecaną przez niego procedurę lub traktowała ją jako sensowną, ową maść »wtupywać«, »tak wtupywać«, na co mój mąż ową maść wtupuje. to, że cała ta zastosowana na mnie procedura daje dokładnie tyle samo, co niestosowanie owej procedury, odsuwa mój mąż daleko i zdecydowanie od siebie i twierdzi, iż ja nie mam pojęcia, a w kwestiach zdrowotnych jestem ignorantką. ja bowiem, mówi mój mąż, skłaniam się przeciw jego pomocy jedynie z uporu, dla którego, tak mój mąż, jestem znana i który ze swej strony, w odniesieniu do mnie, jest osławiony. on najprawdopodobniej nie będzie mnie mógł już nigdy przekonać. niedługo, nawiasem mówiąc, zre-

zygnuje z prób wyjaśniania mi czegokolwiek, i pozostawi mnie sobie. niech się bowiem sama dowiem, jak daleko tym zajdę, mówi mój mąż. kiedy zaś zdarzy się, jak wspomniałam, w najwyższym stopniu rzadko, że mój mąż stwierdzi na sobie wystąpienie pryszczu, wtedy również przychodzi z kropelką maści na palcu do mnie i wyjaśnia mi ową procedurę, tym razem jednak tęże demonstrując na sobie, również tymi samymi słowami, ale z innym wnioskiem końcowym. słowa »wtupywać« mój mąż poza tym nie używa nigdy.

cała historia z myciem okien. okna myję chętnie i w najwyższej mierze starannie, do tego stopnia, że potem szyby w tym sensie dają się widzieć, że ich się już w ogóle nie widzi. dziwnym trafem niezmiennie rzadko jednak do tej czynności z mojej strony dochodzi, ponieważ momentu, w którym ja umycie tego czy owego okna lub też wszystkich naszych okien uważam za wskazane lub zgoła konieczne, z momentem, w którym mój mąż to mniema, a mianowicie by mycie okien uważać za konieczne, nie da się pogodzić, a często nawet obydwie te momenty stoją w jaskrawej sprzeczności wobec siebie, w tym sensie, że moment, przez mojego męża uznany za odpowiedni, w relacji do momentu, uznanego przeze mnie za taki, dalece ten ostatni wyprzedza. jak długo już jestem razem z moim mężem, jeszcze nigdy nie udało mi się mu wyjaśnić, że to mój moment jest właściwym, a w każdym wypadku stosownym. dyskusję na ten temat mój mąż bowiem odrzuca wskazówką, że przecież on mnie zna i nie zamierza już o tym dyskutować, on myje okna wtedy, kiedy te są brudne, a nie, kiedy jakieś tam momenty się pojawiły lub nie pojawiły. to jest dla niego oczywiste.

też prostych odpowiedzi mój mąż nie potrafi udzielać. kiedy pytam go na przykład, »gdzie tę doniczkę mam odstawić?«, przy czym uwzględnić trzeba, że w odniesieniu do doniczek mojego męża zawsze i wyłącznie chodzi o olbrzymie doniczki, wtedy mój mąż co prawda odpowiada na to pytanie, ta jego odpowiedź jednak nie jest żadną, jakiej udzieliliby wszyscy inni ludzie na takie pytanie, lecz jest jakąś historią, długą lub dłuższą oraz wyczerpującą, nigdy jednak nie jest to historia krótka, a w żadnym wypadku odpowiedź, która mnie, jak w tym przykładzie, szybciej mogłaby wprowadzić w sytuację, by móc ową donicę w miejscu, w którym życzy tego sobie mój mąż, odstawić, co, kiedy uwzględni się wagę owej donicy oraz ponadto mój wiek, stanowi dla mnie, jednakowoż tylko dla mnie, moje gorące życzenie. unikanie pytań skierowanych do mojego męża lub sytuacji, w których pojawienie się takich pytań staje się prawdopodobne, nie jest korzystne ani w tej, ani w podobnych sytuacjach. swojej historii bowiem mój mąż, czy to przez to, że na mnie czyha, czy to przez to, że ja nieostrożnie sama krzyżuję jego drogę, w każdym wypadku daje wyraz.

jeśli mojemu mężowi zwykle nie udaje się nic, a w każdym razie nic, co, jeśli nawet tylko w niewielkim stopniu, ma coś wspólnego z techniką, to w przeciwieństwie do tego jego rośliny rozwijają się, a w szczególności juka, w wymiarze, który określić można i trzeba tylko jako niepotrzebny. chodzi w tym wypadku o wymiary, które, jakkolwiek rośliny traktować jako naturalne, nie można już określić jako naturalne. o ile zatem rośliny, a w szczególności juka, mają sens, o tyle jest to jedynym sensownym, które można wiązać z moim mężem.

obchodzenie się mojego męża z substancjami chemicznymi, w szczególności ze środkami ochrony roślin i środkami przeciwko owadom, da się, kiedy miało się okazję obserwować obchodzenie się mojego męża z tymi substancjami, określić tylko jako lekkomyślne, jako najzupełniej lekkomyślne, szczególnie ponieważ chemia, jak, nawiasem mówiąc, również fizyka i biologia, a ponadto także nauki inżynierskie, dla mojego męża są czymś najzupełniej obcym oraz, jak określa to mój mąż, wyjątkowo podejrzanym. gdyby nie było chemii, mówi mój mąż dosłownie, świat wyglądałby zupełnie inaczej, w każdym razie byłby to prostszy świat.

słowo 'łańcuch' pojawia się ostatnio, ponieważ od jakiegoś czasu przeprowadzamy renowację naszego domu, w słownictwie mojego męża dość często. twierdzi on, co się zgadza, że przeprowadzane na i w naszym domu prace podobne są do łańcucha, gdyż każda rozpoczęta praca pociąga za sobą inną, przedtem nieprzewidywaną lub choćby tylko przeczuwaną, która w tym momencie staje się palącą, aby następnie pociągnąć za sobą kolejną, która ze swej strony czyni konieczną kolejną i tak dalej. w ten sposób prace w naszym domu jawią się być, mówi mój mąż, nigdy niekończącym się łańcuchem. »to jest łańcuch«, »to wszystko jest łańcuchem«, czym mój mąż, mówiąc to, jak zakładam, chce wyrazić obawę, że nigdy nie zakończymy owych prac renowacyjnych. dlaczego tę swą obawę nie wyraża przy pomocy dłuższej wypowiedzi lub zgoła rozmowy, w miejsce stałego powtarzania słowa 'łańcuch', »to jest łańcuchem«, pozostaje dla mnie niezrozumiałym. sądzę, że mój mąż odkrył przy okazji naszych prac renowacyjnych, że świat składa się z powiązanych ze sobą części i łączy się w związaną ze sobą całość, co on przy pomocy słowa 'łańcuch' i jego stałego powtarzania na swój sposób stara mi się powiedzieć.

moje sztuki kulinarne, które, co prawda, bez wątpienia istnieją, z trudem tylko jednak określić można jako sztuka lub nawet tylko jako umiejętność, przez mojego męża są przychylne, jednakowoż milcząco znoszone. zagadnięty przeze mnie na tę okoliczność, a więc powiedzmy zapytany, »smakuje ci jedzenie«, mój mąż odpowiada, »tak, bardzo smaczne«. że ja mu, skonfrontowana z taką wypowiedzią, nie wierzę, mój mąż zdaje się nie zauważać. do podejrzenia, że mój mąż wobec moich nieoczekiwanie wybuchłych aktywności kulinarnych jest zazdrosny, nie ma powodu. to dla mnie oczywiste.

także w najwyższym stopniu prostych stanów rzeczy mój mąż nie potrafi wyjaśnić, jak w ogóle niczego wyjaśniać. dany stan rzeczy jako taki, w tym, co mój mąż uważa za wyjaśnienie, było nie było, się pojawia, dokładnie rzecz biorąc jedynie jego części, odłamki, te jednakowoż jak zatem i całe wyjaśnienie przetkane są wieloma innymi, również najczęściej niepełnymi, rozpoczętymi, a następnie już nigdy niekontynuowanymi lub kończonymi zdaniami, przetkane w sposób, który następnie owo wyjaśnienie przesuwa najzupełniej w tło, ukazując je jako niemile widziany i zasadniczo zbędny balast. samo wyjaśnienie staje się, nawet jeśli mój mąż nie ustaje w twierdzeniu, iż rzecz ma się dokładnie odwrotnie, najzupełniej nieważne. nie to, czego od mojego męża oczekuję, a zatem wyjaśnienie, się pojawia, lecz stale inny stan rzeczy lub zgoła wiele innych stanów rzeczy, co do których jednak zakładam i zmuszona jestem zakładać, że są one w gruncie rzeczy tym, co mój mąż właściwie miał zamiar mi opowiedzieć. w rezultacie już od dziesięcioleci nie proszę mojego męża, żeby mi coś wyjaśnił, a jeśli nieostrożnie jednak tak, nie oczekuję żadnego wyjaśnienia, lecz daję mojemu mężowi okazję do prowadzenia ze mną rozmowy.

ostatnio mój mąż powiedział, że odkryta właśnie przeze mnie w kuchni bombonierka była dla niego objawieniem, nie ta, przeze mnie teraz znaleziona, lecz inna, przed trzydziestoma pięcioma laty mu podarowana, a mianowicie kiedy po raz pierwszy był w paryżu, gdzie mu jego, mniejsza o to dłaczego, żyjąca tam i przez mojego męża tak samo jak francja nie-lubiana siostra lub też jakaś inna osoba, tego już sobie dzisiaj dokładnie nie przypomina, taką właśnie bombonierkę, to znaczy bombonierkę tego samego producenta podarowała. ta, w gruncie rzeczy, puszka jest dla niego, również dzisiaj jeszcze, powiedział mój mąż, stale objawieniem, jak i powodem tego, że, przyjeżdżając do francji, puszkę tego właśnie producenta nabywa drogą kupna, a w konsekwencji mnie następnie ową historię z puszką opowiada, mimo iż ja, jak mój mąż najprawdopodobniej wie, historię tę znam aż za dobrze i już jej właściwie nie chcę więcej słyszeć.

12 stycznia – 14 lipca 2002

alltägliche ☐ mit meiner frau
gespräche ☐ derselbst gewidmet

es wäre schließlich, sollte ich jemals vorhaben, die geschichte zu erzählen, eine leidensgeschichte, für die, um sie zu erzählen oder jemandem verständlich zu machen, ich gar nicht die zeit aufbringen könnte. eine geschichte, in der, um sie, auch wenn sie jetzt nicht anwesend ist, zu beruhigen, nicht, wie von ihr oftmals und dies, wie ich meine, auch nicht ohne grund befürchtet wird, ich, sondern auch einmal meine frau im vordergrund steht. es wäre, könnte man die geschichte erzählen, eine geschichte über die unzulänglichkeit dieser meiner frau, zeit, wenn auch nur ansatz- oder versuchsweise, einzuhalten. weiß mit ausnahme dieser frau die gesamte menschheit, zumindest aber jener teil, für den zeit etwas ernstzunehmendes ist, wieviel zeit für die ausführung einer tätigkeit, und zwar einer solchen, die man im laufe der jahre zur genüge kennengelernt haben konnte, benötigt wird, um diese tätigkeit zu einem zeitpunkt abzuschließen, zu dem eine andere tätigkeit, genauer ihr beginn, beschlossen worden ist, und zwar, um etwaige zweifel auszuräumen, im einvernehmen mit dieser frau oftmals sogar auf ihren ausdrücklichen wunsch hin beschlossen worden ist, weiß meine frau dies nicht. dieser frau ist es noch nie gelungen und also, wie ich annehme, unmöglich, den abschluß einer tätigkeit mit dem beginn einer anderen, ebenfalls beschlossenen in einklang zu bringen. stets schließt eine tätigkeit, welche es auch immer sein mag, zwar mit dem beginn einer anderen, von meiner frau dann als der folgerichtigen angesehenen, nie aber mit einer von mir als solchen betrachteten oder von uns beiden abgesprochenen tätigkeit ab. oft fragt meine frau dann, nicht selten mit einer kaum noch zu verbergenden erbostheit, was ich denn nun wolle, es gehe doch alles ohne zweifel nahtlos ineinander über. sage ich daraufhin, daß

dies durchaus für ihre, nicht aber für meine oder gar für unsere
tätigkeiten zutreffe und nurmehr ich rücksicht zu nehmen
gezwungen bin, versteht sie mich nicht.

auch geschieht oft, daß ich eine aufregung über das verhalten meiner frau in ihrer anwesenheit und also ihr gegenüber nicht mehr zum ausdruck bringen kann, da meine frau in solchen fällen dazu neigt, mir vorzuwerfen, ich sei es doch, der streß verursache, nicht sie. oft hingegen lasse ich mich dann zu einer entgegnung hinreißen.

das zeitverständnis meiner frau ist mir immer ein rätsel gewesen und, man bedenke, meine frau ist heute ebenso wie ich fünfzig jahre alt, wird mir immer ein rätsel bleiben. daran aber, behauptet meine frau, sei einzig und allein ich schuld, gäbe es meine fortwährenden bemerkungen nicht, wäre die welt in ordnung. frage ich meine frau, wessen welt denn, bereue ich im gleichen augenblick, die frage gestellt zu haben, und beschließe, zukünftig in solchen und ähnlichen fällen zu schweigen.

auch geschieht oft, daß eine bemerkung meinerseits zu einer anderen, einer meiner frau allerdings, führt, welche diese eigentlich unnötige bemerkung zum anlaß nimmt, mir eine gegebenheit zu schildern, über die ich weiß gott nichts wissen will. damit bringe ich mich in die lage, zugeben zu müssen, daß ich mir das, was nun geschieht, selbst zuzuschreiben habe. es nützt auch nichts, mich davon überzeugen zu wollen, ich habe die bemerkung zuvorkommenderweise aus höflichkeit, aus purer sympathie und eingehendem verständnis für die lage meiner frau vorgebracht.

selten ist ein erkennbarer zusammenhang zwischen dem gerade von mir und dem daraufhin von meiner frau gesagten festzustellen, zumindest in den letzten jahren kaum noch. sage ich zum beispiel, »nun habe aber jemand viel parfüm auf sich getan«, antwortet meine frau, sie schwitze in letzter zeit viel.

auf meine meiner frau gegenüber vorgebrachte bemerkung hin, sie solle bitte nicht wieder streß machen, bekam ich keine antwort. erneut, wie ich zugeben muß.

ebenso bedenkt meine frau technische gegebenheiten nie. jene zum beispiel, die mit einem staubsaugerkabel in verbindung stehen. die entfernung zwischen einer zu reinigenden stelle und dem dazu dienenden staubsauger ist, je nach standort und standortveränderung des staubsaugers, eine jeweils feste gröÙe, die zwar nicht nur, jedoch am einfachsten durch ein entsprechendes herausziehen des staubsaugerkabels zu überbrücken und also den gegebenheiten anzupassen ist. meine als hinweis gedachten und schweigend ausgeführten aktivitäten, wie zum beispiel ein den vorliegenden umständen entsprechendes herausziehen des kabels aus dem staubsauger-gehäuse, und zwar auf eine art, die meiner frau nicht verborgen bleiben kann, zeigen keinerlei wirkung. gespräche über dieses thema gehören zwischen uns der vergangenheit an.

mit anderen worten. benutzt meine frau den staubsauger, was vorteilhafterweise nur selten geschieht, da ich ihr, wie ich annehme, mit ihrem einverständnis in der benutzung des staubsaugers meistens zuvorkomme, ob meiner vorliebe für ordnung und sauberkeit wohlgemerkt und nicht aus wie auch immer verstandener liebe zu meiner frau, zieht sie das staubsaugerkabel nie soweit heraus, wie es notwendig wäre, wollte man das absaugen, was man sich nun abzusaugen vorgenommen hat, sondern immer zu wenig, was mich dann, ohne ein wort zu sagen, dazu veranlaßt, die zu wenig aus dem staubsauger herausgezogene schnur auf eine ausgesprochen selbstverständliche und natürliche weise nun soweit herauszuziehen, wie es den umständen entsprechender ist. das gesamte geschehen wird von meiner frau wortlos hingenommen und von mir ebenso vollzogen.

neulich fragte ich meine frau, ohne mir dabei etwas besonderes zu denken und eigentlich nur, um meine höflichkeit, die in letzter zeit ein wenig rar geworden ist, wieder zum vorschein kommen zu lassen, »kann ich dir vielleicht helfen«, worauf meine frau entgegnete, »nun ich mache halt pilze mit ein wenig kuskus«. eine fortsetzung des gesprächs erschien mir fortan unmöglich.

auch knöpfe an technischen geräten kann meine frau nicht auf eine diesen knöpfen entsprechende weise drücken. sie weiß wohl, wozu die knöpfe dienen, und was man, hat man sie einmal gedrückt, damit erreichen kann, aber gerade das ist es, was meiner frau partout nicht gelingen will. ist, wie so oft, um etwas zu bewirken, ein knopf zweimal zu drücken, zweimal hintereinander wohlgemerkt, gelingt es meiner frau den dazu nötigen rhythmus nicht zu finden. sie drückt, welchen knopf sie auch immer drückt, den knopf einfach zu langsam hintereinander und kommt damit zum ergebnis der von ihr offensichtlich erwünschten aktion nie. eine welt, in der knöpfe, und zwar alle immer nur einmal zu drücken seien, wäre ihr lieb, sagte sie neulich. allerdings geschieht es nicht selten, daß eben jene knöpfe, die nur einmal zu drücken sind, von meiner frau derart lange gedrückt werden, daß das auf diese weise behandelte gerät dies als zweimaliges drücken ansieht und eine aktion zwar ausführt, jedoch nicht jene, die meine frau sich erhofft hatte, also eine, die ein einmaliges drücken des knopfes verlangte. in solchen fällen beschränke ich mich einzig und allein auf einen satz wie, »einmal drücken« oder »zweimal drücken«. was meine frau, wie sie sofort sagt, nervös mache.

»dann was«, fragte ich unlängst, »machen wir etwas zu essen?« daraufhin sagte meine frau, »ja, ich habe ein brötchen gegessen«. was mich, wenn man weiß, daß eine mahlzeit meiner frau oftmals aus eben einem einzigen brötchen besteht, nun nicht nur keinen schritt weiter bringt und auch nicht des brötchens wegen verwundert, sondern immer nur zum nachdenken veranlaßt, und zwar darüber, was wohl meine frau mit ihrer bemerkung gemeint haben könnte oder bezwecken wollte. die gesamte darauf folgende zeit, in der ich mit der essenszubereitung beschäftigt bin, was ich übrigens immer und gerne tue, denke ich an den grund und den zweck ihrer bemerkung und komme zu keinem plausiblen ergebnis. eine entsprechende und damit alles auflösende frage zu stellen, vermeide ich, weil ich aus anlaß solcher und ähnlicher situationen bereits vor jahren darauf verzichtet habe, an das stellen einer frage auch nur zu denken. aus furcht letztendlich, aus furcht eine ebenso fragwürdige erklärung des sachverhalts seitens meiner frau zu erhalten wie ich sie auch nun erhalten habe.

daß meine frau bereits gefrühstückt hatte, erkenne ich bis tief in den tag hinein daran, daß auf der fensterbank ihres zimmers ein einmal angebissenes brötchen oder aber eine ebenso angeknabberte scheibe brot liegt. als ich meine frau einmal darauf angesprochen habe, meinte sie, sie werde das brötchen schon aufessen. gerechterweise sollte man vielleicht hinzufügen, daß das brötchen oder aber die scheibe brot am nachmittag dann auch verschwunden ist. nicht selten jedoch, und auch dies ist wahr, habe ich dieses angeknabberte essensstück später an einer anderen, oft merkwürdigen stelle wiedergefunden. woraufhin ich, nicht ohne ein kopfschütteln, endgültig beschlossen habe, meine frau auf diesen sachverhalt nicht mehr anzusprechen.

der amoklauf. eine unter den von mir am meisten gefürchteten eigenschaften meiner frau ist nicht der amoklauf selbst, als vielmehr das gespräch, das ihn tatsächlich erst zu dem werden läßt, was ich durch dieses gespräch eigentlich zu verhindern mir die mühe machen zu müssen glaubte, nämlich dem amoklauf. es dürfte wohl bekannt sein, daß meine frau dazu neigt, eine tätigkeit nicht an dem punkt zu beenden, an dem die übrige menschheit diese tätigkeit beendet, sondern eine von ihr begonnene tätigkeit derart und dermaßen auszuweiten, daß am ende, von dem in diesem fall jedoch keine rede sein kann, zum beispiel die gesamte wohnung auf dem kopf steht. etwas, das für gewöhnlich als ein ende bezeichnet wird, scheint meiner frau fremd zu sein. es fügt sich für sie alles nahtlos ineinander. all dies wäre nicht weiter problematisch, ebenso nicht erwähnenswert, neigte ich nicht, um meiner frau zu helfen, immer wieder dazu, etwas sagen zu müssen, und zwar etwas, das meiner frau erlaubte, aus dem kreis, in den sie sich meiner meinung nach selbst hineinmanövriert hatte, herauszutreten, sie in eine welt zurückführte, in der jede tätigkeit ein ende hat. sage ich dann, wider besseren wissens naturgemäß, denn ich weiß ja, wohin dies führt, »wollen wir jetzt nicht schon schluß machen«, ernte ich eine entgegnung wie etwa, »ich kann den dreck nicht ertragen«. »wir können es doch auch später machen«, sage ich daraufhin meist sehr unsicher und höre, »dich stört das alles offensichtlich nicht, du könntest so leben«. und wenn ich nun in diesem moment nicht augenblicklich den raum verlasse und damit den wortwechsel abbreche, kommt ein gespräch auf mich zu und setzt sich in einer weise fort, in der sich auch die von meiner frau begonnene, zunächst einfache tätigkeit, die ich mit meiner bemerkung habe abbrechen

wollen, fortsetzt. versäume ich diesen moment und verlasse das zimmer oder die wohnung nicht, bin ich und aber schließlich ist auch meine frau, also sind wir beide verloren. ein gefühl der verlorenheit läßt aber meine frau, in diesem moment zumindest, nicht erkennen. sie behauptet vielmehr, alles wäre wie immer meine schuld, hätte ich sie doch nur ihre arbeit machen lassen, sie wäre mit ihr jetzt bereits fertig. aus erfahrung, da ich ihr nicht mehr widerspreche, weiß ich, das stimmt nicht.

von einem augenblick auf den anderen ist meine frau mißmutig, dann wieder heiter gestimmt im nächsten augenblick. dies wäre nichts besonderes, fände der wechsel nicht so rasch statt. das unerfreuliche ist dabei, daß ich es immer bereits vorher weiß. spreche ich meine frau darauf an, leugnet sie das vorhandensein einer schlechten stimmung. ist sie hingegen in einer heiteren stimmung, verfällt sie, von mir darauf angesprochen, in eine mißmutige, die sich darin äußert, daß sie in mir die ursache für ihre stimmung zu erkennen meint. gewiß, eine schutzbehauptung ihrerseits. nur wovor will sie sich schützen, frage ich mich manchmal. einem direkten gespräch darüber geht meine frau allerdings aus dem weg. sie meint, ich wolle sie doch nur verunsichern und ihr etwas, was so gar nicht stimme, einreden.

kurzgespräche mit meiner frau sind praktisch nicht wiederzugeben. sage ich, »ich komme heute gegen ein uhr zurück«, antwortet meine frau, das sei kein problem, sie habe nichts vor. was mich dann nicht nur bestürzt, sondern auch zum nachdenken zwingt, jedoch zu keiner lösung kommen läßt. ich rate nicht einmal mehr, was meine frau gemeint haben mag.

über mehrere stunden hinweg bereite ich mir ein gespräch mit meiner frau vor, das ich dann, kommt sie oder komme ich zurück, gar nicht führe, weil sie mich nach meiner oder ihrer rückkehr mit etwas, an das ich nicht gedacht habe, an das ich nicht habe denken können, als ich mir das gespräch mir meiner frau vorbereitete, überrascht.

immer wenn meine frau nach hause kommt, habe ich die befürchtung und mittlerweile die gewißheit, daß sie, hereingekommen, mir sofort aufgeregt eine geschichte, die ihr geschehen ist, erzählt. selten muß ich mich eines besseren belehren lassen. die menschen, denen meine frau außer hauses über den weg läuft, müssen furchtbar sein. gehe ich aus dem haus, weiß ich, zurückgekehrt, daß ich ebenfalls eine sie aufregende geschichte erzählt bekomme, obwohl meine frau niemanden getroffen hatte. sie erzählt dann eben eine frühere begebenheit, an die sie sich während meiner abwesenheit, durch diese meine abwesenheit erinnert hatte. es geht aber nie um die geschichte, sondern um das furchtbare an ihr, das geschehen sein mag oder nicht.

das problem mit der jalousie, wobei nicht die jalousie selbst und als solche problematisch oder von interesse ist, sondern die schnur, die, wie jeder, darunter auch meine frau, weiß, immer ein wenig länger ist, als es im gegebenen fall notwendig gewesen wäre. zu lang allerdings nur dann, wenn man, wie dies meine frau tut, die technischen und wirtschaftlichen voraussetzungen nicht berücksichtigt. diese also immer ein wenig zu lange schnur schafft meine frau in jedem fall und unter jeden umständen zu verwirbeln. rolle ich die jalousie zusammen, hänge ich die fein säuberlich aufgerollte schnur an einem vorher dafür auserkorenen gegenstand ab, damit, wie das meine absicht ist, ich die schnur, muß oder will ich die jalousie wieder herunterlassen, von diesem gegenstand herabnehmen und die jalousie aufrollen kann, ohne mich vorher mit einem lästigen auseinanderzwirbeln der schnur aufhalten zu müssen. genau das gleiche, antwortet, darauf angesprochen, meine frau, tue sie auch. ob dies nun tatsächlich der fall ist, wollen wir nicht erläutern, ich glaube meiner frau. die schnur aber ist, hat meine frau die jalousie zusammengerollt, immer verwirbelt. sie wisse, so meine frau, auch nicht, wie es dazu komme, und ob denn dies so wichtig sei, fragt sie mich. »nein, überhaupt nicht wichtig«, antworte ich, »es fasziniert mich nur sozusagen rein physikalisch«.

in umständlichkeiten ist meine frau nicht zu übertreffen. genau genommen gibt es nichts, was meine frau nicht umständlich hätte machen können. welche der von ihr ausgeführten tätigkeiten man auch nehme, sie führt sie umständlich aus, wobei ihre neigung zum amoklauf ihr behilflich, auf keinen fall hinderlich ist. putzt meine frau ein fenster, und zwar nur deswegen, weil sie der meinung, das fenster müsse geputzt werden, früher ist als ich, der ich ja für das putzen der fenster zuständig bin, geschieht dies auf eine art und weise, bei der das fenster in diesem, wie sich zeigen wird, prozeß sehr schnell eine untergeordnete rolle spielt, insofern als das fenster, angesichts jener tätigkeiten, die meine frau in diesen prozeß miteinfließen läßt, in den hintergrund tritt und zur nebensache wird. gehe ich dann, um diesem prozeß nicht beiwohnen und über seinen sinn nicht nachdenken oder ihn gar nachvollziehen zu müssen, zum beispiel mit dem hund spazieren oder verlasse unter sonst einem vorwand die wohnung, kehre ich in eine vollkommen veränderte wohnung zurück, in eine wohnung, in der meine frau damit beschäftigt ist, ein weiteres, dem angesprochenen weit entlegenes zimmer, wie sie es bezeichnet, in ordnung zu bringen. je nach dauer meiner abwesenheit und je nach der bei meiner rückkehr vorgefundenen stimmungslage meiner frau, setze ich zu einem gespräch oder zumindest zu einer äußerung an, in dem oder in der ich darauf hinweise, daß die nun doch ziemlich ausschweifende aktion sich derart ausdehnt, daß wir vielleicht überlegen sollten, sie morgen oder an einem anderen dafür geeigneten tag fortzusetzen. dann sagt meine frau, ich erwarte doch nicht von ihr, sie lasse sich darauf ein, in einer derart vernachlässigten wohnung, wenn auch mit mir, zu wohnen. woraufhin mir naturgemäß keine entgegnung mehr

möglich ist und ich gezwungen bin, das, was nun geschieht,
wohl oder übel hinzunehmen.

»unsere wohngegend ist furchtbar neblig«, sagte meine frau.
ja nun, es stimmt. nur wohnen wir in dieser gegend schon seit
zehn jahren.

etwas zu ende zu führen, ist ein konzept, das meiner frau zwar nicht unbekannt, sogar wohl vertraut, jedoch nichts, wonach sie sich richtet, ist. hatte meine frau, warum soll jetzt unwichtig sein, als sie einmal sechshundert nägel in einen rahmen hineinschlagen mußte, da ihr hartnäckigkeit nie und von niemand abgesprochen wird, nachdem sie nun fünfhundertachtzig der nägel hineinzuschlagen geschafft hatte, auf das hineinschlagen der restlichen zwanzig verzichtet und dies auf später verlegt, wartete sie gar mit dem hineinschlagen der verbleibenden nägel zwei tage lang und auch dies vermutlich nur, weil ich nach diesen zwei tagen meine verwunderung darüber, daß sie bereits seit zwei tagen mit dem hineinschlagen der nägel wartet, zum ausdruck gebracht hatte. würde ich diese meine verwunderung nicht zum ausdruck gebracht gehabt haben, dehnte sich die unterbrechung möglicherweise noch weiter aus. auf das phänomen selbst nach mehreren wochen angesprochen, meinte meine frau, man müsse eben, wolle man etwas vernünftig, präzise und gewissenhaft machen, solange warten, bis dies gewährleistet sei, tue man es sofort, in einem zustand der erschöpfung gar, könne man keine derart präzisen ergebnisse erwarten, wie ich sie auch immer von ihr erwarte und gewohnt sei. es könne sich nur um eine überstürzte aktion handeln, die dann den gobelin, für dessen kette die nägel in den rahmen hineingeschlagen werden mußten, verderben. ein zeitverlust von zwei tagen, sofern man hier überhaupt von verlust sprechen könne, sei bei einer gesamtarbeitsdauer von mehreren monaten, die ein derart großer gobelin verlangt, unerheblich, was ich offensichtlich, so meine frau, sie auf den sachverhalt aufmerksam machend nicht bedacht habe, was sie jedoch, da sie mich kenne, gewohnt ist und von mir auch nicht anders als

nun geschehen erwartet habe. die weberzeugnisse allerdings sind das einzige, was meine frau, seitdem ich sie kenne, zu ende führt. einzig und allein die weberzeugnisse. türmte man dagegen die von meiner frau nicht abgeschlossenen und abgebrochenen vorhaben auf, stünde man vor einem berg.

»matsch« ist neuerdings das Lieblingswort meiner frau, das sie mehrmals am tag und mehrmals hintereinander, berechtigterweise wie ich zugeben muß, da auf den in unserer stadt vorherrschenden schmutz sich beziehend, wiederholt.

die geschichte mit dem ja und dem nein. fragt man einen beliebigen menschen, ob er das, was man ihm gerade erklärt, verstanden habe, antwortet er entsprechend mit einem ja oder einem nein oder er fragt nach. dies von meiner frau zu erwarten, ist vollkommen verkehrt. stelle ich meiner frau eine frage, bekomme ich grundsätzlich ein ja zu hören. und nun ist es die tonhöhe, die stimmlage oder die intensität des ja, aus dem ich herauszulesen die aufgabe habe, ob meine frau das von mir gesagte verstanden oder nicht verstanden habe. nach jahren des studiums dieses ja und also des herauslesens der tatsächlichen einstellung meiner frau zu einer gewissen übung gekommen, gelingt es mir heute oftmals, ruhe zu bewahren. meine frau scheint der auffassung zu sein, ein ja sei erheblich sicherer als ein nein, da sie dieses ja, ebenso übrigens wie es ein von ihr allerdings nie ausgesprochenes nein vermochte, in die lage versetze, aus meinen weiteren ausführungen zu erraten, ob das von ihr geäußerte ja auch tatsächlich die zutreffende antwort gewesen sei. ich muß zugeben, es geschieht ausgesprochen selten, daß meine frau ihre entscheidung revidieren muß. was mich wiederum verwundert und zunächst zu der frage führt und dann zum nachdenken darüber veranlaßt, woher meine frau weiß, daß ein ja wahrscheinlicher als ein nein ist. über die von meiner frau beherrschten verfahren, mit denen sie in den selten vorkommenden fällen, in denen ein nein angebracht wäre, ein nach dem ja doch noch ausgesprochenes nein motiviert und also das anfängliche ja kaschiert und durch ein tatsächlich zutreffendes nein ersetzt, ohne mein mißtrauen zu erwecken, will ich schweigen. die ganze geschichte aber, behauptet meine frau, habe damit, daß sie ein wenig schlecht höre, welche erklärung ich ihr angeboten habe, nichts zu tun. ich könne sagen was ich wolle.

meine frau geht oft, wenn nicht gar immer davon aus, daß, obwohl sie etwas nicht ausgesprochen hat, alle wüßten, was sie denke. denke sie etwas, meint meine frau, wissen mit sicherheit alle, was sie denke, und sie verzichte darauf, es zu sagen, wundert sich dann allerdings, warum die anderen anders reagieren, wenn sie doch das gleiche wie diese denke. sie übersieht offensichtlich, daß niemand außer ihr es weiß. hinzu kommt, daß meine frau einem meistens das sagt, wovon sie annimmt, der andere wolle es hören, um ihm, dem anderen also, eine freude zu bereiten, sagt meine frau. der unerfahrene hält das von ihr geäußerte für ihre meinung. welche verstrickte verwicklungen daraus resultieren, braucht nicht erläutert zu werden. ihre meinung gibt meine frau nämlich, wenn überhaupt, als letztes preis.

auch sind alle ihre taten, jene meiner frau, vollkommen planlos durchgeführte taten. sowohl einen plan zu fassen und diesen dann im auge zu behalten, als auch einen plan auszuführen, ist etwas, das meiner frau fremd ist. sie beginnt alles nicht nur nicht in der hoffnung, es irgendwann und irgendwie zu einem ende zu bringen, sondern in der überzeugung, eine solche hoffnung zu hegen, sei etwas gänzlich überflüssiges. pläne sind meiner frau unbekannt, ebenso wie die meinung, pläne besitzen zu sollen oder gar zu müssen. in den vielen jahren ist es mir nie gelungen, meine frau davon zu überzeugen, der besitz eines planes sei etwas nützliches und vorteilhaftes.

auch das wort eintupfen wird von meiner frau oft, wie ich meine, zu oft, in bestimmten situationen, ohne daß ich es und, wie ich nun zu erkennen glaube, auch meine frau es will, verwendet. bekomme ich oder aber, dies jedoch selten, meine frau einen pickel, preist meine frau sogleich eine von ihr auf dem markt entdeckte salbe, die, so meine frau, exakt gegen solche vorkommnisse von der industrie erfunden worden ist, an. sie preist sie jedoch nicht nur, was noch wenn auch nur leidlich zu ertragen wäre, sondern wendet sie auch an und dies vorzugsweise an mir, wobei sie mir immer die dazu zu verwendende menge an salbe auf ihrem finger zeigt, und ich muß sagen, daß meine frau die schönsten finger und also hände hat, die ich je gesehen habe. und dann bringt sie diese salbe an der sich an mir befindenden, wie meine frau es ausdrückt, unreinen stelle auf und spricht mehrmals in bestimmten nur als wohl überlegt zu bezeichnenden und somit einen angenehmen rhythmus ergebenden abständen das wort eintupfen aus. ich müsse, befolgte und wendete ich die von ihr empfohlene prozedur oder sehe ich sie als eine sinnvolle prozedur an, die salbe »eintupfen«, »so eintupfen«, woraufhin meine frau die salbe eintupft. daß die gesamte an mir angewandte prozedur exakt das gleiche mit sich bringt wie die nicht-anwendung dieser prozedur, weist meine frau weit und entschieden von sich und behauptet, ich habe keine ahnung und sei in gesundheitlichen fragen ein banause. ich wende mich doch nur gegen ihre hilfe aus sturheit, für die ich, so meine frau, bekannt bin und diese selbst an mir berüchtigt ist. sie werde mich wohl nie überzeugen können. bald gebe sie übrigens die versuche, mir etwas zu erklären, auf und überlasse mich mir selbst. ich solle doch erfahren, wie weit ich damit komme, sagt meine frau. geschieht

es, wie gesagt äußerst selten, daß meine frau einen pickel an sich feststellt, kommt sie auch dann mit einem tüpfelchen salbe auf ihrem finger zu mir und erklärt mir die prozedur, diesmal aber selbige an sich demonstrierend, ebenfalls, und zwar mit den gleichen worten, aber einer anderen schlußfolgerung. das wort »eintupfen« benutzt meine frau ansonsten nie.

die ganze geschichte mit dem fensterputzen. fenster putze ich gerne und ausgesprochen sorgfältig, so daß sich die scheiben danach in dem sinne sehen lassen können, daß man sie gar nicht mehr sieht. merkwürdigerweise komme ich zu dieser tätigkeit fast nie, da der zeitpunkt, an dem ich das putzen dieses oder jenes oder aber aller unserer fenster für angebracht oder gar notwendig halte, mit dem zeitpunkt, an dem meine frau dies tut, nämlich das fensterputzen für notwendig zu halten, nicht in einklang zu bringen ist, und oftmals gar beide zeitpunkte in einem krassen widerspruch stehen, dahingehend, daß der von meiner frau für entsprechend angesehene zeitpunkt dem von mir als solchen angesehenen weit voraus ist. solange ich bereits mit meiner frau zusammen bin, habe ich ihr noch nie klar machen können, daß mein zeitpunkt der richtige, auf jeden fall der angebrachte ist. eine diskussion über dieses thema weist meine frau allerdings mit dem hinweis von sich, sie kenne mich doch und wolle darüber nicht mehr diskutieren, sie putze die fenster, wenn diese schmutzig sind, und nicht, wenn irgendwelche zeitpunkte angebrochen oder nicht angebrochen sind. dies sei für sie klar.

auch einfache antworten kann meine frau nicht geben. frage ich sie zum beispiel, »wo soll denn der blumentopf hin?«, wobei zu bedenken ist, daß es sich bei den blumentöpfen meiner frau immer und nur um riesige blumentöpfe handelt, antwortet meine frau zwar auf die frage, diese ihre antwort ist jedoch keine wie sie alle anderen menschen auf eine solche frage hin geben, sondern es ist eine geschichte, eine lange oder längere und ausführliche, nie jedoch ist es eine kurze und auf keinen fall eine antwort, die mich, wie in diesem beispiel, schneller dazu bringen könnte, den blumentopf an der von meiner frau gewünschten stelle abzusetzen, was, wenn man das gewicht der blumentöpfe und zusätzlich mein alter bedenkt, von mir, allerdings nur von mir, sehnlichst gewünscht wird. fragen an meine frau zu vermeiden oder gelegenheiten, in denen fragen wahrscheinlich werden, aus dem weg zu gehen, nützt weder in dieser noch in anderen situationen. meine frau bringt nämlich ihre geschichte, sei es dadurch, daß sie mir auflauert, sei es dadurch, daß ich unvorsichtigerweise selbst ihren weg kreuze, ohnehin zum ausdruck.

gelingt meiner frau ansonsten nichts, auf jeden fall nichts, was auch nur im entferntesten mit technik zu tun hat, gedeihen ihre pflanzen, insbesondere die yuccas in einem ausmaß, das ich nur als unnötig bezeichnen kann. es handelt sich dabei um dimensionen, die, so natürlich pflanzen auch sein mögen, nicht mehr als natürlich zu bezeichnen sind. sofern also pflanzen und insbesondere yuccas einen sinn machen, ist dies das einzig sinnvolle, das mit meiner frau in zusammenhang zu bringen ist.

der umgang meiner frau mit chemischen substanzen, insbesondere mit pflanzenschutzmitteln und insektenvertilgungsmitteln, ist, hat man den umgang meiner frau mit diesen substanzen beobachten können, nur als sorglos, als vollkommen sorglos zu bezeichnen, nicht zuletzt weil chemie, wie übrigens auch physik und biologie und darüber hinaus ingenieurwissenschaften für meine frau etwas vollkommen fremdes und, wie meine frau es nennt, ausgesprochen verdächtiges sind. gäbe es keine chemie, so meine frau wörtlich, sähe die welt ganz anders aus, auf jeden fall wäre es eine einfachere welt.

das wort kette taucht neuerdings, da wir seit einiger zeit unser haus renovieren, im wortschatz meiner frau gehäuft auf. sie behauptet, was auch zutrifft, die an unserem haus durchgeführten arbeiten gleichen einer kette, indem jede begonnene arbeit eine andere, davor nicht vorhergesehene oder auch nur geahnte, die nun akut wird, nach sich ziehe, um dann eine weitere nach sich zu ziehen, die ihrerseits eine weitere notwendig macht und so fort. auf diese weise seien die arbeiten an unserem haus, so meine frau, einer nie enden wollenden kette gleich. »es ist eine kette«, »das alles ist eine kette«, womit meine frau, indem sie es sagt, wie ich annehme, die befürchtung, wir werden mit den renovierungsarbeiten nie fertig, zum ausdruck bringen will. warum sie diese ihre befürchtung nicht durch eine längere äußerung oder gar durch ein gespräch zum ausdruck bringt, statt immerfort das wort kette, »es ist eine kette«, zu wiederholen, bleibt mir unerklärlich. ich glaube, meine frau hat bei gelegenheit der renovierungsarbeiten entdeckt, daß die welt aus zusammenhängenden teilen besteht und sich in ein zusammenhängendes ganzes fügt, was sie nun mit dem wort kette und seiner fortwährenden wiederholung auf ihre art mir zu sagen versucht.

meine kochkünste, die zwar durchaus vorhanden, kaum jedoch als kunst oder gar künste zu bezeichnen sind, werden von meiner frau wohlwollend, jedoch wortlos hingenommen. von mir darauf angesprochen und also etwa gefragt, »schmeckt dir das essen«, antwortet meine frau, »ja, sehr lecker«. daß ich ihr diese ihre äußerung nicht glaube, scheint meine frau nicht zu bemerken. zu der vermutung, meine frau sei auf meine unverhoffterweise ausgebrochenen kulinarischen aktivitäten eifersüchtig, gibt es keinen anlaß. soviel ist klar.

auch einen ausgesprochen einfachen sachverhalt kann meine frau nicht erklären, wie überhaupt keine erklärungen geben. der sachverhalt selbst kommt, in dem, was meine frau für eine erklärungen hält, wohl vor, genauer gesagt seine teile, splitter, diese jedoch wie also auch die gesamte erklärungen sind von vielen anderen, ebenfalls meist unvollständigen, angefangenen und dann nie mehr fortgeführten oder beendeten sätzen durchsetzt, auf eine art durchsetzt, die dann diese erklärungen vollkommen in den hintergrund treten, sie als unwillkommenen, an sich überflüssigen ballast erscheinen lassen. die erklärungen selbst wird, auch wenn meine frau nie müde wird, zu behaupten, das gegenteil sei der fall, gänzlich unwichtig. nicht das, was ich von meiner frau erwarte, die erklärungen also, tritt in erscheinung, sondern immer wieder ein anderer sachverhalt oder gar viele andere sachverhalte, von denen ich aber annehme und annehmen muß, diese seien im grunde das, was meine frau mir eigentlich zu erzählen die absicht hatte. folglich bitte ich meine frau seit jahrzehnten nicht mehr, mir doch bitte etwas zu erklären, und wenn unvorsichtigerweise doch, erwarte ich keine erklärungen, sondern gebe meiner frau damit die gelegenheit, mit mir ein gespräch zu führen.

neulich sagte meine frau, die von mir gerade in der küche entdeckte bonbondose sei für sie eine offenbarung gewesen, nicht diese, von mir nun entdeckte, sondern eine andere, vor fünfunddreißig jahren ihr geschenkte, und zwar als sie erstmals in paris gewesen war, wo ihr ihre dort, warum auch immer, lebende und von meiner frau ebenso wie frankreich nicht gemochte schwester oder eine andere person, daran könne sie sich nicht mehr genau erinnern, eine solche bonbondose, das heißt eine des gleichen herstellers schenkte. diese dose erweist sich auch heute noch, sagte meine frau, immer wieder als eine offenbarung und sei auch der grund dafür, daß sie, nach frankreich kommend, eine dose dieses herstellers käuflich erwirbt und daraufhin mir dann die geschichte mit der dose erzählt, obwohl ich, wie meine frau vermutlich weiß, die geschichte nur zu gut kenne und sie eigentlich nicht mehr hören will.

12. januar – 14. juli 2002

alltägliche ☐ mit meinem mann
gespräche demselbst gewidmet

es wäre schließlich, sollte ich jemals vorhaben, die geschichte zu erzählen, eine leidensgeschichte, für die, um sie zu erzählen oder jemandem verständlich zu machen, ich gar nicht die zeit aufbringen könnte. eine geschichte, in der, um ihn, auch wenn er jetzt nicht anwesend ist, zu beruhigen, nicht, wie von ihm oftmals und dies, wie ich meine, auch nicht ohne grund befürchtet wird, ich, sondern auch einmal mein mann im vordergrund steht. es wäre, könnte man die geschichte erzählen, eine geschichte über die unzulänglichkeit meines mannes, zeit wenn auch nur ansatz- oder versuchsweise einzuhalten. weiß mit ausnahme meines mannes die gesamte menschheit, zumindest aber jener teil, für den zeit etwas ernstzunehmendes ist, wieviel zeit für die ausführung einer tätigkeit, und zwar einer solchen, die man im laufe der jahre zur genüge kennengelernt haben konnte, benötigt wird, um diese tätigkeit zu einem zeitpunkt abzuschließen, zu dem eine andere tätigkeit, genauer ihr beginn, beschlossen worden ist, und zwar, um etwaige zweifel auszuräumen, im einvernehmen mit meinem mann oftmals sogar auf seinen ausdrücklichen wunsch hin beschlossen worden ist, weiß mein mann dies nicht. meinem mann ist es noch nie gelungen und also, wie ich annehme, unmöglich, den abschluß einer tätigkeit mit dem beginn einer anderen, ebenfalls beschlossenen in einklang zu bringen. stets schließt eine tätigkeit, welche es auch immer sein mag, zwar mit dem beginn einer anderen, von meinem mann dann als der folgerichtigen angesehenen, nie aber mit einer von mir als solchen betrachteten oder von uns beiden abgesprochenen tätigkeit ab. oft fragt mein mann dann, nicht selten mit einer kaum noch zu verbergenden erbostheit, was ich denn nun wolle, es gehe doch alles ohne zweifel nahtlos ineinander über. sage ich

daraufhin, daß dies durchaus für seine, nicht aber für meine oder gar für unsere tätigkeiten zutreffe und nurmehr ich rück-sicht zu nehmen gezwungen bin, versteht er mich nicht.

auch geschieht oft, daß ich eine aufregung über das verhalten meines mannes in seiner anwesenheit und also ihm gegenüber nicht mehr zum ausdruck bringen kann, da mein mann in solchen fällen dazu neigt, mir vorzuwerfen, ich sei es doch, die streß verursache, nicht er. oft hingegen lasse ich mich dann zu einer entgegnung hinreißen.

das zeitverständnis meines mannes ist mir immer ein rätsel gewesen und, man bedenke, mein mann ist heute ebenso wie ich fünfzig jahre alt, wird mir immer ein rätsel bleiben. daran aber, behauptet mein mann, sei einzig und allein ich schuld, gäbe es meine fortwährenden bemerkungen nicht, wäre die welt in ordnung. frage ich meinen mann, wessen welt denn, bereue ich im gleichen augenblick, die frage gestellt zu haben, und beschließe, zukünftig in solchen und ähnlichen fällen zu schweigen.

auch geschieht oft, daß eine bemerkung meinerseits zu einer anderen, einer meines mannes allerdings, führt, welcher diese eigentlich unnötige bemerkung zum anlaß nimmt, mir eine gegebenheit zu schildern, über die ich weiß gott nichts wissen will. damit bringe ich mich in die lage, zugeben zu müssen, daß ich mir das, was nun geschieht, selbst zuzuschreiben habe. es nützt auch nichts, mich davon überzeugen zu wollen, ich habe die bemerkung zuvorkommenderweise aus höflichkeit, aus purer sympathie und eingehendem verständnis für die lage meines mannes vorgebracht.

selten ist ein erkennbarer zusammenhang zwischen dem gerade von mir und dem daraufhin von meinem mann gesagten festzustellen, zumindest in den letzten jahren kaum noch. sage ich zum beispiel, »nun habe aber jemand viel parfum auf sich getan«, antwortet mein mann, er schwitze in letzter zeit viel.

auf meine meinem mann gegenüber vorgebrachte bemerkung hin, er solle bitte nicht wieder streß machen, bekam ich keine antwort. erneut, wie ich zugeben muß.

ebenso bedenkt mein mann technische gegebenheiten nie. jene zum beispiel, die mit einem staubsaugerkabel in verbindung stehen. die entfernung zwischen einer zu reinigenden stelle und dem dazu dienenden staubsauger ist, je nach standort und standortveränderung des staubsaugers, eine jeweils feste gröÙe, die zwar nicht nur, jedoch am einfachsten durch ein entsprechendes herausziehen des staubsaugerkabels zu überbrücken und also den gegebenheiten anzupassen ist. meine als hinweis gedachten und schweigend ausgeführten aktivitäten, wie zum beispiel ein den vorliegenden umständen entsprechendes herausziehen des kabels aus dem staubsauger-gehäuse, und zwar auf eine art, die meinem mann nicht verborgen bleiben kann, zeigen keinerlei wirkung. gespräche über dieses thema gehören zwischen uns der vergangenheit an.

mit anderen worten. benutzt mein mann den staubsauger, was vorteilhafterweise nur selten geschieht, da ich ihm, wie ich annehme, mit seinem einverständnis in der benutzung des staubsaugers meistens zuvorkomme, ob meiner vorliebe für ordnung und sauberkeit wohlgemerkt und nicht aus wie auch immer verstandener liebe zu meinem mann, zieht er das staubsaugerkabel nie soweit heraus, wie es notwendig wäre, wollte man das absaugen, was man sich nun abzusaugen vorgenommen hat, sondern immer zu wenig, was mich dann, ohne ein wort zu sagen, dazu veranlaßt, die zu wenig aus dem staubsauger herausgezogene schnur auf eine ausgesprochen selbstverständliche und natürliche weise nun soweit herausziehen, wie es den umständen entsprechender ist. das gesamte geschehen wird von meinem mann wortlos hingenommen und von mir ebenso vollzogen.

neulich fragte ich meinen mann, ohne mir dabei etwas besonderes zu denken und eigentlich nur, um meine höflichkeit, die in letzter zeit ein wenig rar geworden ist, wieder zum vorschein kommen zu lassen, »kann ich dir vielleicht helfen«, worauf mein mann entgegnete, »nun ich mache halt pilze mit ein wenig kuskus«. eine fortsetzung des gesprächs erschien mir fortan unmöglich.

auch knöpfe an technischen geräten kann mein mann nicht auf eine diesen knöpfen entsprechende weise drücken. er weiß wohl, wozu die knöpfe dienen, und was man, hat man sie einmal gedrückt, damit erreichen kann, aber gerade das ist es, was meinem mann partout nicht gelingen will. ist, wie so oft, um etwas zu bewirken, ein knopf zweimal zu drücken, zweimal hintereinander wohlgemerkt, gelingt es meinem mann den dazu nötigen rhythmus nicht zu finden. er drückt, welchen knopf er auch immer drückt, den knopf einfach zu langsam hintereinander und kommt damit zum ergebnis der von ihm offensichtlich erwünschten aktion nie. eine welt, in der knöpfe, und zwar alle immer nur einmal zu drücken seien, wäre ihm lieb, sagte er neulich. allerdings geschieht es nicht selten, daß eben jene knöpfe, die nur einmal zu drücken sind, von meinem mann derart lange gedrückt werden, daß das auf diese weise behandelte gerät dies als zweimaliges drücken ansieht und eine aktion zwar ausführt, jedoch nicht jene, die mein mann sich erhofft hatte, also eine, die ein einmaliges drücken des knopfes verlangte. in solchen fällen beschränke ich mich einzig und allein auf einen satz wie, »einmal drücken« oder »zweimal drücken«. was meinen mann, wie er sofort sagt, nervös mache.

»dann was«, fragte ich unlängst, »machen wir etwas zu essen?« daraufhin sagte mein mann, »ja, ich habe ein brötchen gegessen«. was mich, wenn man weiß, daß eine mahlzeit meines mannes oftmals aus eben einem einzigen brötchen besteht, nun nicht nur keinen schritt weiter bringt und auch nicht des brötchens wegen verwundert, sondern immer nur zum nachdenken veranlaßt, und zwar darüber, was wohl mein mann mit seiner bemerkung gemeint haben könnte oder bezwecken wollte. die gesamte darauf folgende zeit, in der ich mit der essenszubereitung beschäftigt bin, was ich übrigens immer und gerne tue, denke ich an den grund und den zweck seiner bemerkung und komme zu keinem plausiblen ergebnis. eine entsprechende und damit alles auflösende frage zu stellen, vermeide ich, weil ich aus anlaß solcher und ähnlicher situationen bereits vor jahren darauf verzichtet habe, an das stellen einer frage auch nur zu denken. aus furcht letztendlich, aus furcht eine ebenso fragwürdige erklärung des sachverhalts seitens meines mannes zu erhalten wie ich sie auch nun erhalten habe.

daß mein mann bereits gefrühstückt hatte, erkenne ich bis tief in den tag hinein daran, daß auf der fensterbank seines zimmers ein einmal angebissenes brötchen oder aber eine ebenso angeknabberte scheibe brot liegt. als ich meinen mann einmal darauf angesprochen habe, meinte er, er werde das brötchen schon aufessen. gerechterweise sollte man vielleicht hinzufügen, daß das brötchen oder aber die scheibe brot am nachmittag dann auch verschwunden ist. nicht selten jedoch, und auch dies ist wahr, habe ich dieses angeknabberte essensstück später an einer anderen, oft merkwürdigen stelle wiedergefunden. woraufhin ich, nicht ohne ein kopfschütteln, endgültig beschlossen habe, meinen mann auf diesen sachverhalt nicht mehr anzusprechen.

der amoklauf. eine unter den von mir am meisten gefürchteten eigenschaften meines mannes ist nicht der amoklauf selbst, als vielmehr das gespräch, das ihn tatsächlich erst zu dem werden läßt, was ich durch dieses gespräch eigentlich zu verhindern mir die mühe machen zu müssen glaubte, nämlich dem amoklauf. es dürfte wohl bekannt sein, daß mein mann dazu neigt, eine tätigkeit nicht an dem punkt zu beenden, an dem die übrige menschheit diese tätigkeit beendet, sondern eine von ihm begonnene tätigkeit derart und dermaßen auszuweiten, daß am ende, von dem in diesem fall jedoch keine rede sein kann, zum beispiel die gesamte wohnung auf dem kopf steht. etwas, das für gewöhnlich als ein ende bezeichnet wird, scheint meinem mann fremd zu sein. es fügt sich für ihn alles nahtlos ineinander. all dies wäre nicht weiter problematisch, ebenso nicht erwähnenswert, neigte ich nicht, um meinem mann zu helfen, immer wieder dazu, etwas sagen zu müssen, und zwar etwas, das meinem mann erlaubte, aus dem kreis, in den er sich meiner meinung nach selbst hineinmanövriert hatte, herauszutreten, ihn in eine welt zurückführte, in der jede tätigkeit ein ende hat. sage ich dann, wider besseren wissens naturgemäß, denn ich weiß ja, wohin dies führt, »wollen wir jetzt nicht schon schluß machen«, ernte ich eine entgegnung wie etwa, »ich kann den dreck nicht ertragen«. »wir können es doch auch später machen«, sage ich daraufhin meist sehr unsicher und höre, »dich stört das alles offensichtlich nicht, du könntest so leben«. und wenn ich nun in diesem moment nicht augenblicklich den raum verlasse und damit den wortwechsel abbreche, kommt ein gespräch auf mich zu und setzt sich in einer weise fort, in der sich auch die von meinem mann begonnene, zunächst einfache tätigkeit, die ich mit meiner

bemerkung habe abbrechen wollen, fortsetzt. versäume ich diesen moment und verlasse das zimmer oder die wohnung nicht, bin ich und aber schließlich ist auch mein mann, also sind wir beide verloren. ein gefühl der verlorenheit läßt aber mein mann, in diesem moment zumindest, nicht erkennen. er behauptet vielmehr, alles wäre wie immer meine schuld, hätte ich ihn doch nur seine arbeit machen lassen, er wäre mit ihr jetzt bereits fertig. aus erfahrung, da ich ihm nicht mehr widerspreche, weiß ich, das stimmt nicht.

von einem augenblick auf den anderen ist mein mann mißmutig, dann wieder heiter gestimmt im nächsten augenblick. dies wäre nichts besonderes, fände der wechsel nicht so rasch statt. das unerfreuliche ist dabei, daß ich es immer bereits vorher weiß. spreche ich meinen mann darauf an, leugnet er das vorhandensein einer schlechten stimmung. ist er hingegen in einer heiteren stimmung, verfällt er, von mir darauf angesprochen, in eine mißmutige, die sich darin äußert, daß er in mir die ursache für seine stimmung zu erkennen meint. gewiß, eine schutzbehauptung seinerseits. nur wovor will er sich schützen, frage ich mich manchmal. einem direkten gespräch darüber geht mein mann allerdings aus dem weg. er meint, ich wolle ihn doch nur verunsichern und ihm etwas, was so gar nicht stimme, einreden.

kurzgespräche mit meinem mann sind praktisch nicht wiederzugeben. sage ich, »ich komme heute gegen ein uhr zurück«, antwortet mein mann, das sei kein problem, er habe nichts vor. was mich dann nicht nur bestürzt, sondern auch zum nachdenken zwingt, jedoch zu keiner lösung kommen läßt. ich rate nicht einmal mehr, was mein mann gemeint haben mag.

über mehrere stunden hinweg bereite ich mir ein gespräch mit meinem mann vor, das ich dann, kommt er oder komme ich zurück, gar nicht führe, weil er mich nach meiner oder seiner rückkehr mit etwas, an das ich nicht gedacht habe, an das ich nicht habe denken können, als ich mir das gespräch mir meinem mann vorbereitete, überrascht.

immer wenn mein mann nach hause kommt, habe ich die befürchtung und mittlerweile die gewißheit, daß er, hereingekommen, mir sofort aufgeregt eine geschichte, die ihm geschehen ist, erzählt. selten muß ich mich eines besseren belehren lassen. die menschen, denen mein mann außer hauses über den weg läuft, müssen furchtbar sein. gehe ich aus dem haus, weiß ich, zurückgekehrt, daß ich ebenfalls eine ihn aufregende geschichte erzählt bekomme, obwohl mein mann niemanden getroffen hatte. er erzählt dann eben eine frühere begebenheit, an die er sich während meiner abwesenheit, durch diese meine abwesenheit erinnert hatte. es geht aber nie um die geschichte, sondern um das furchtbare an ihr, das geschehen sein mag oder nicht.

das problem mit der jalousie, wobei nicht die jalousie selbst und als solche problematisch oder von interesse ist, sondern die schnur, die, wie jeder, darunter auch mein mann, weiß, immer ein wenig länger ist, als es im gegebenen fall notwendig gewesen wäre. zu lang allerdings nur dann, wenn man, wie dies mein mann tut, die technischen und wirtschaftlichen voraussetzungen nicht berücksichtigt. diese also immer ein wenig zu lange schnur schafft mein mann in jedem fall und unter jeden umständen zu verwirbeln. rolle ich die jalousie zusammen, hänge ich die fein säuberlich aufgerollte schnur an einem vorher dafür auserkorenen gegenstand ab, damit, wie das meine absicht ist, ich die schnur, muß oder will ich die jalousie wieder herunterlassen, von diesem gegenstand herabnehmen und die jalousie aufrollen kann, ohne mich vorher mit einem lästigen auseinanderzwirbeln der schnur aufhalten zu müssen. genau das gleiche, antwortet, darauf angesprochen, mein mann, tue er auch. ob dies nun tatsächlich der fall ist, wollen wir nicht erläutern, ich glaube meinem mann. die schnur aber ist, hat mein mann die jalousie zusammengerollt, immer verwirbelt. er wisse, so mein mann, auch nicht, wie es dazu komme, und ob denn dies so wichtig sei, fragt er mich. »nein, überhaupt nicht wichtig«, antworte ich, »es fasziniert mich nur sozusagen rein physikalisch«.

in umständlichkeiten ist mein mann nicht zu übertreffen. genau genommen gibt es nichts, was mein mann nicht umständlich hätte machen können. welche der von ihm ausgeführten tätigkeiten man auch nehme, er führt sie umständlich aus, wobei seine neigung zum amoklauf ihm behilflich, auf keinen fall hinderlich ist. putzt mein mann ein fenster, und zwar nur deswegen, weil er der meinung, das fenster müsse geputzt werden, früher ist als ich, die ich ja für das putzen der fenster zuständig bin, geschieht dies auf eine art und weise, bei der das fenster in diesem, wie sich zeigen wird, prozeß sehr schnell eine untergeordnete rolle spielt, insofern als das fenster, angesichts jener tätigkeiten, die mein mann in diesen prozeß miteinfließen läßt, in den hintergrund tritt und zur nebensache wird. gehe ich dann, um diesem prozeß nicht beiwohnen und über seinen sinn nicht nachdenken oder ihn gar nachvollziehen zu müssen, zum beispiel mit dem hund spazieren oder verlasse unter sonst einem vorwand die wohnung, kehre ich in eine vollkommen veränderte wohnung zurück, in eine wohnung, in der mein mann damit beschäftigt ist, ein weiteres, dem angesprochenen weit entlegenes zimmer, wie er es bezeichnet, in ordnung zu bringen. je nach dauer meiner abwesenheit und je nach der bei meiner rückkehr vorgefundenen stimmungslage meines mannes, setze ich zu einem gespräch oder zumindest zu einer äußerung an, in dem oder in der ich darauf hinweise, daß die nun doch ziemlich ausschweifende aktion sich derart ausdehnt, daß wir vielleicht überlegen sollten, sie morgen oder an einem anderen dafür geeigneten tag fortzusetzen. dann sagt mein mann, ich erwarte doch nicht von ihm, er lasse sich darauf ein, in einer derart vernachlässigten wohnung, wenn auch mit mir, zu wohnen. woraufhin mir naturgemäß keine ent-

gegnung mehr möglich ist und ich gezwungen bin, das, was nun geschieht, wohl oder übel hinzunehmen.

»unsere wohngegend ist furchtbar neblig«, sagte mein mann.
ja nun, es stimmt. nur wohnen wir in dieser gegend schon seit
zehn jahren.

etwas zu ende zu führen, ist ein konzept, das meinem mann zwar nicht unbekannt, sogar wohl vertraut, jedoch nichts, wonach er sich richtet, ist. hatte mein mann, warum soll jetzt unwichtig sein, als er einmal sechshundert nägel in einen rahmen hineinschlagen mußte, da ihm hartnäckigkeit nie und von niemand abgesprochen wird, nachdem er nun fünfhundertachtzig der nägel hineinzuschlagen geschafft hatte, auf das hineinschlagen der restlichen zwanzig verzichtet und dies auf später verlegt, wartete er gar mit dem hineinschlagen der verbleibenden nägel zwei tage lang und auch dies vermutlich nur, weil ich nach diesen zwei tagen meine verwunderung darüber, daß er bereits seit zwei tagen mit dem hineinschlagen der nägel wartet, zum ausdruck gebracht hatte. würde ich diese meine verwunderung nicht zum ausdruck gebracht gehabt haben, dehnte sich die unterbrechung möglicherweise noch weiter aus. auf das phänomen selbst nach mehreren wochen angesprochen, meinte mein mann, man müsse eben, wolle man etwas vernünftig, präzise und gewissenhaft machen, solange warten, bis dies gewährleistet sei, tue man es sofort, in einem zustand der erschöpfung gar, könne man keine derart präzisen ergebnisse erwarten, wie ich sie auch immer von ihm erwarte und gewohnt sei. es könne sich nur um eine überstürzte aktion handeln, die dann den gobelin, für dessen kette die nägel in den rahmen hineingeschlagen werden mußten, verderben. ein zeitverlust von zwei tagen, sofern man hier überhaupt von verlust sprechen könne, sei bei einer gesamtarbeitsdauer von mehreren monaten, die ein derart großer gobelin verlangt, unerheblich, was ich offensichtlich, so mein mann, ihn auf den sachverhalt aufmerksam machend nicht bedacht habe, was er jedoch, da er mich kenne, gewohnt ist und von mir auch nicht

anders als nun geschehen erwartet habe. die weberzeugnisse allerdings sind das einzige, was mein mann, seitdem ich ihn kenne, zu ende führt. einzig und allein die weberzeugnisse. türmte man dagegen die von meinem mann nicht abgeschlossenen und abgebrochenen vorhaben auf, stünde man vor einem berg.

»matsch« ist neuerdings das Lieblingswort meines Mannes, das er mehrmals am Tag und mehrmals hintereinander, berechtigterweise wie ich zugeben muß, da auf den in unserer Stadt vorherrschenden Schmutz sich beziehend, wiederholt.

die geschichte mit dem ja und dem nein. fragt man einen beliebigen menschen, ob er das, was man ihm gerade erklärt, verstanden habe, antwortet er entsprechend mit einem ja oder einem nein oder er fragt nach. dies von meinem mann zu erwarten, ist vollkommen verkehrt. stelle ich meinem mann eine frage, bekomme ich grundsätzlich ein ja zu hören. und nun ist es die tonhöhe, die stimmlage oder die intensität des ja, aus dem ich herauszulesen die aufgabe habe, ob mein mann das von mir gesagte verstanden oder nicht verstanden habe. nach jahren des studiums dieses ja und also des herauslesens der tatsächlichen einstellung meines mannes zu einer gewissen übung gekommen, gelingt es mir heute oftmals, ruhe zu bewahren. mein mann scheint der auffassung zu sein, ein ja sei erheblich sicherer als ein nein, da er dieses ja, ebenso übrigens wie es ein von ihm allerdings nie ausgesprochenes nein vermochte, in die lage versetze, aus meinen weiteren ausführungen zu erraten, ob das von ihm geäußerte ja auch tatsächlich die zutreffende antwort gewesen sei. ich muß zugeben, es geschieht ausgesprochen selten, daß mein mann seine entscheidung revidieren muß. was mich wiederum verwundert und zunächst zu der frage führt und dann zum nachdenken darüber veranlaßt, woher mein mann weiß, daß ein ja wahrscheinlicher als ein nein ist. über die von meinem mann beherrschten verfahren, mit denen er in den selten vorkommenden fällen, in denen ein nein angebracht wäre, ein nach dem ja doch noch ausgesprochenes nein motiviert und also das anfängliche ja kaschiert und durch ein tatsächlich zutreffendes nein ersetzt, ohne mein mißtrauen zu erwecken, will ich schweigen. die ganze geschichte aber, behauptet mein mann, habe damit, daß er ein wenig schlecht höre, welche erklärung ich ihm angeboten habe, nichts zu tun. ich könne sagen was ich wolle.

mein mann geht oft, wenn nicht gar immer davon aus, daß, obwohl er etwas nicht ausgesprochen hat, alle wüßten, was er denke. denke er etwas, meint mein mann, wissen mit sicherheit alle, was er denke, und er verzichte darauf, es zu sagen, wundert sich dann allerdings, warum die anderen anders reagieren, wenn er doch das gleiche wie diese denke. er übersieht offensichtlich, daß niemand außer ihm es weiß. hinzu kommt, daß mein mann einem meistens das sagt, wovon er annimmt, der andere wolle es hören, um ihm, dem anderen also, eine freude zu bereiten, sagt mein mann. der unerfahrene hält das von ihm geäußerte für seine meinung. welche verstrickte verwicklungen daraus resultieren, braucht nicht erläutert zu werden. seine meinung gibt mein mann nämlich, wenn überhaupt, als letztes preis.

auch sind alle seine taten, jene meines mannes, vollkommen planlos durchgeführte taten. sowohl einen plan zu fassen und diesen dann im auge zu behalten, als auch einen plan auszuführen, ist etwas, das meinem mann fremd ist. er beginnt alles nicht nur nicht in der hoffnung, es irgendwann und irgendwie zu einem ende zu bringen, sondern in der überzeugung, eine solche hoffnung zu hegen, sei etwas gänzlich überflüssiges. pläne sind meinem mann unbekannt, ebenso wie die meinung, pläne besitzen zu sollen oder gar zu müssen. in den vielen jahren ist es mir nie gelungen, meinen mann davon zu überzeugen, der besitz eines planes sei etwas nützliches und vorteilhaftes.

auch das wort eintupfen wird von meinem mann oft, wie ich meine, zu oft, in bestimmten situationen, ohne daß ich es und, wie ich nun zu erkennen glaube, auch mein mann es will, verwendet. bekomme ich oder aber, dies jedoch selten, mein mann einen pickel, preist mein mann sogleich eine von ihm auf dem markt entdeckte salbe, die, so mein mann, exakt gegen solche vorkommnisse von der industrie vorteilhafterweise erfunden worden ist, an. er preist sie jedoch nicht nur, was noch wenn auch nur leidlich zu ertragen wäre, sondern wendet sie auch an und dies vorzugsweise an mir, wobei er mir immer die dazu zu verwendende menge an salbe auf seinem finger zeigt, und ich muß sagen, daß mein mann die schönsten finger und also hände hat, die ich je gesehen habe. und dann bringt er diese salbe an der sich an mir befindenden, wie mein mann es ausdrückt, unreinen stelle auf und spricht mehrmals in bestimmten nur als wohl überlegt zu bezeichnenden und somit einen angenehmen rhythmus ergebenden abständen das wort eintupfen aus. ich müsse, befolgte und wendete ich die von ihm empfohlene prozedur oder sehe ich sie als eine sinnvolle prozedur an, die salbe »eintupfen«, »so eintupfen«, woraufhin mein mann die salbe eintupft. daß die gesamte an mir angewandte prozedur exakt das gleiche mit sich bringt wie die nicht-anwendung dieser prozedur, weist mein mann weit und entschieden von sich und behauptet, ich habe keine ahnung und sei in gesundheitlichen fragen eine banausin. ich wende mich doch nur gegen seine hilfe aus sturheit, für die ich, so mein mann, bekannt bin und diese selbst an mir berüchtigt ist. er werde mich wohl nie überzeugen können. bald gebe er übrigens die versuche, mir etwas zu erklären, auf und überlasse mich mir selbst. ich solle doch erfahren, wie weit ich damit

komme, sagt mein mann. geschieht es, wie gesagt äußerst selten, daß mein mann einen pickel an sich feststellt, kommt er auch dann mit einem tüpfelchen salbe auf seinem finger zu mir und erklärt mir die prozedur, diesmal aber selbige an sich demonstrierend, ebenfalls, und zwar mit den gleichen worten, aber einer anderen schlußfolgerung. das wort »eintupfen« benutzt mein mann ansonsten nie.

die ganze geschichte mit dem fensterputzen. fenster putze ich gerne und ausgesprochen sorgfältig, so daß sich die scheiben danach in dem sinne sehen lassen können, daß man sie gar nicht mehr sieht. merkwürdigerweise komme ich aber zu dieser tätigkeit fast nie, da der zeitpunkt, an dem ich das putzen dieses oder jenes oder aber aller unserer fenster für angebracht oder gar notwendig halte, mit dem zeitpunkt, an dem mein mann dies tut, nämlich das fensterputzen für notwendig zu halten, nicht in einklang zu bringen ist, und oftmals gar beide zeitpunkte in einem krassen widerspruch stehen, dahingehend, daß der von mir für entsprechend angesehene zeitpunkt dem von meinem mann als solchen angesehenen weit voraus liegt. solange ich bereits mit meinem mann zusammen bin, habe ich ihm noch nie klar machen können, daß mein zeitpunkt der richtige, auf jeden fall der angebrachte ist. eine diskussion über dieses thema weist mein mann allerdings mit dem hinweis von sich, er kenne mich doch und wolle darüber nicht mehr diskutieren, er putze die fenster, wenn diese schmutzig sind, und nicht, wenn irgendwelche zeitpunkte angebrochen oder nicht angebrochen sind. dies sei für ihn klar.

auch einfache antworten kann mein mann nicht geben. frage ich ihn zum beispiel, »wo soll denn der blumentopf hin?«, wobei zu bedenken ist, daß es sich bei den blumentöpfen meines mannes immer und nur um riesige blumentöpfe handelt, antwortet mein mann zwar auf die frage, diese seine antwort ist jedoch keine wie sie alle anderen menschen auf eine solche frage hin geben, sondern es ist eine geschichte, eine lange oder längere und ausführliche, nie jedoch ist es eine kurze und auf keinen fall eine antwort, die mich, wie in diesem beispiel, schneller dazu bringen könnte, den blumentopf an der von meinem mann gewünschten stelle abzusetzen, was, wenn man das gewicht der blumentöpfe und zusätzlich mein alter bedenkt, von mir, allerdings nur von mir, sehnlichst gewünscht wird. fragen an meinen mann zu vermeiden oder gelegenheiten, in denen fragen wahrscheinlich werden, aus dem weg zu gehen, nützt weder in dieser noch in anderen situationen. mein mann bringt nämlich seine geschichte, sei es dadurch, daß er mir auflauert, sei es dadurch, daß ich unvorsichtigerweise selbst seinen weg kreuze, ohnehin zum ausdruck.

gelingt meinem mann ansonsten nichts, auf jeden fall nichts, was auch nur im entferntesten mit technik zu tun hat, gedeihen seine pflanzen, insbesondere die yuccas in einem ausmaß, das ich nur als unnötig bezeichnen kann. es handelt sich dabei um dimensionen, die, so natürlich pflanzen auch sein mögen, nicht mehr als natürlich zu bezeichnen sind. sofern also pflanzen und insbesondere yuccas einen sinn machen, ist dies das einzig sinnvolle, das mit meinem mann in zusammenhang zu bringen ist.

der umgang meines mannes mit chemischen substanzen, insbesondere mit pflanzenschutzmitteln und insektenvertilgungsmitteln, ist, hat man den umgang meines mannes mit diesen substanzen beobachten können, nur als sorglos, als vollkommen sorglos zu bezeichnen, nicht zuletzt weil chemie, wie übrigens auch physik und biologie und darüber hinaus ingenieurwissenschaften für meinen mann etwas vollkommen fremdes und, wie mein mann es nennt, ausgesprochen verdächtiges sind. gäbe es keine chemie, so mein mann wörtlich, sähe die welt ganz anders aus, auf jeden fall wäre es eine einfachere welt.

das wort kette taucht neuerdings, da wir seit einiger zeit unser haus renovieren, im wortschatz meines mannes gehäuft auf. er behauptet, was auch zutrifft, die an unserem haus durchgeführten arbeiten gleichen einer kette, indem jede begonnene arbeit eine andere, davor nicht vorhergesehene oder auch nur geahnte, die nun akut wird, nach sich ziehe, um dann eine weitere nach sich zu ziehen, die ihrerseits eine weitere notwendig macht und so fort. auf diese weise seien die arbeiten an unserem haus, so mein mann, einer nie enden wollenden kette gleich. »es ist eine kette«, »das alles ist eine kette«, womit mein mann, indem er es sagt, wie ich annehme, die befürchtung, wir werden mit den renovierungsarbeiten nie fertig, zum ausdruck bringen will. warum er diese seine befürchtung nicht durch eine längere äußerung oder gar durch ein gespräch zum ausdruck bringt, statt immerfort das wort kette, »es ist eine kette«, zu wiederholen, bleibt mir unerklärlich. ich glaube, mein mann hat bei gelegenheit der renovierungsarbeiten entdeckt, daß die welt aus zusammenhängenden teilen besteht und sich in ein zusammenhängendes ganzes fügt, was er nun mit dem wort kette und seiner fortwährenden wiederholung auf seine art mir zu sagen versucht.

meine kochkünste, die zwar durchaus vorhanden, kaum jedoch als kunst oder gar künte zu bezeichnen sind, werden von meinem mann wohlwollend, jedoch wortlos hingenommen. von mir darauf angesprochen und also etwa gefragt, »schmeckt dir das essen«, antwortet mein mann, »ja, sehr lecker«. daß ich ihm diese seine äußerung nicht glaube, scheint mein mann nicht zu bemerken. zu der vermutung, mein mann sei auf meine unverhoffterweise ausgebrochenen kulinarischen aktivitäten eifersüchtig, gibt es keinen anlaß. soviel ist klar.

auch einen ausgesprochen einfachen sachverhalt kann mein mann nicht erklären, wie überhaupt keine erklärungen geben. der sachverhalt selbst kommt, in dem, was mein mann für eine erklärungen hält, wohl vor, genauer gesagt seine teile, splitter, diese jedoch wie also auch die gesamte erklärungen sind von vielen anderen, ebenfalls meist unvollständigen, angefangenen und dann nie mehr fortgeführten oder beendeten sätzen durchsetzt, auf eine art durchsetzt, die dann diese erklärungen vollkommen in den hintergrund treten, sie als unwillkommenen, als an sich überflüssigen ballast erscheinen lassen. die erklärungen selbst wird, auch wenn mein mann nie müde wird, zu behaupten, das gegenteil sei der fall, gänzlich unwichtig. nicht das, was ich von meinem mann erwarte, die erklärungen also, tritt in erscheinung, sondern immer wieder ein anderer sachverhalt oder gar viele andere sachverhalte, von denen ich aber annehme und annehmen muß, diese seien im grunde das, was mein mann mir eigentlich zu erzählen die absicht hatte. folglich bitte ich meinen mann seit jahren nicht mehr, mir doch bitte etwas zu erklären, und wenn unvorsichtigerweise doch, erwarte ich keine erklärungen, sondern gebe meinem mann damit die gelegenheit, mit mir ein gespräch zu führen.

neulich sagte mein mann, die von mir gerade in der küche entdeckte bonbondose sei für ihn eine offenbarung gewesen, nicht diese, von mir nun entdeckte, sondern eine andere, vor zwanzig jahren ihm geschenke, und zwar als er erstmals in paris gewesen war, wo ihm seine dort, warum auch immer, lebende und von meinem mann ebenso wie frankreich nicht gemochte schwester oder eine andere person, daran könne er sich nicht mehr genau erinnern, eine solche bonbondose, das heißt eine des gleichen herstellers schenkte. diese dose erweist sich auch heute noch, sagte mein mann, immer wieder als eine offenbarung und sei auch der grund dafür, daß er, nach frankreich kommend, eine dose dieses herstellers käuflich erwirbt und daraufhin mir dann die geschichte mit der dose erzählt, obwohl ich, wie mein mann vermutlich weiß, die geschichte nur zu gut kenne und sie eigentlich nicht mehr hören will.

12. januar – 14. juli 2002

